

3
cenzura
trójkąta
bermudz-
kiego



5
rżysko im
stołem



11
kryzys



13
rewolta
w łapaciach



14
od biurka
do biurka

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

31

(58)

KONTAKTY

9 VIII 1981

Cena 6 zł



Z cyklu: szanujmy wiedzę przodków;

Rysunek Andrzeja Podulki

JAK WSKRZESIĆ ISKRĘ?

**władzy
w kość**

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

Przed Urzędem Gminy w Szepietowie czeka już kilkudziesięciu chłopów, tyle że bez świń, krów, owiec, jak to pierwotnie zapowiadał władzom wojewódzkim wiceprzewodniczący Zarządu Gminnego NSZZ RI „Solidarność”, Kazimierz Busma. Kilku z nich, by czasu nie tracić po próżnicy, staje w kolejce po papierosy, inni urwali się do urzędów, by załatwić najpilniejsze sprawy. Specjalny wysłannik Urzędu Wojewódzkiego, Jan Jamiolkowski, oddycha z ulgą, bo myślał o najgorszym. Ponoć gmina otrzymała na drugi kwartał za mało sprzętu, i w dodatku podzieliła go między swoich rolników — najbogatszych, którzy „mają krewnych w Ameryce i śpią na dolarach.”

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

powrót posła

**ziemia
rodzi kamienie**

ADAM JERZY
SOCHA

Byłem przekonany, że Witolda Malinowskiego, świeżo upieczono-ego członka Komitetu Centralnego PZPR zastanę w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego, gdzie odbywała się celebra pozjazdowa. Zaproszeni goście odświeżnie przybrani, stoły zastawione butelkami z... wodą sodową, mówca właśnie o tym, jak towarzysze Kania wygłosił krótki referat na otwarciu Zjazdu. Nim dojdzie w tej relacji do momentu zamknięcia Zjazdu, ja już będę w Lubianach, rodzinnej wsi delegata, jako że ten celebrowanie ominął.

★

Kamienista droga, domy z kamienią, podmurówka, obory z kamienią, badulca... Kamieni w tej okolicy pod dostatkiem i chyba tylko kamieni. Jakby je ziemia w wielkiej obfitości rodziła miast chleba. W tym kamienistym pejzażu przycupnęły obok siebie, kilka kilometrów od Szczuczyna, trzy wsie: Lubiane, Żebrki i Kamińskie. Domek Witolda Malinowskiego, jeden z trzynastu i z trzynastym numerem, skryty w potężnych lipach, stoi przy drodze na Żebrki. Nie muszę pytać: tutaj nie tutaj? Metalowa brama ma wspawane litery: W i M — inicjały

CIĄG DALSZY NA STR. 4



ZBYT SPOKOJNIE i mało konkretnie jak na to, co dzieje się wokół nas przebiegała wojewódzka narada aktywu partyjnego, w której uczestniczyli również delegaci na IX Zjazd. Nazbyt schematycznym, pozbawionym głębszej refleksji nad tym, co partia, organizacje partyjne w województwie powinny robić, by przerwać produkcyjne dreptanie w miejscu i zmniejszyć falę społecznego niezadowolenia był referat wprowadzający. — Dość słów — mili dyskutanci — o oczyszczeniu, błędach, wychodzeniu z kryzysu. Nie czas na to. Teraz potrzebne są konkretne przedsięwzięcia, a więc inicjatywa i pomysłowość wojewódzkiej organizacji. Oczekujemy od instancji partyjnej — podkreślali — nie utyskiwań w rodzaju, że spada produkcja w zakładach, a na wsi pogarsza się obsługa, lecz odpowiedzi na pytanie: co należy w naszym województwie zrobić, by wreszcie zacząć wychodzić z rozpaczliwej sytuacji. Te same uwagi padły pod adresem rządu, Sejmu, związków zawodowych.

W obliczu zapowiedzianego przez NSZZ „Solidarność” strajku na 5 sierpnia (gdzie oddajemy materiał do druku) siedziba łomżyńskiej „Solidarności” oblepiona jest prowokacyjnymi plakatami) pytano, co z realizacją porozumienia zawartego między wojewodą a MKZ NSZZ „Solidarność”, dotyczącego wygospodarowania nowych obiektów na przedszkola. W związku z tym Włodzimierz Michaluk, I sekretarz KW poinformował, iż egzekutywa KW przewidziała w połowie sierpnia rozpatrzenia tego problemu. Wojewódzkiej organizacji partyjnej, po-

dobnie jak „Solidarność”, zależy na możliwie najszybszym złagodzeniu głodu miejsc w przedszkolach. Z marszów i protestów, jak zauważył jeden z uczestników narady, nie przybędzie miejsc. Przy pomocy społeczeństwa władze wypełnią te zadania tak, jak dzięki inicjatywie załogi dzieje się to w ŁZPB „Narew”.

VIII SESJA WRN miała zatwierdzić program rozwoju budownictwa mieszkaniowego i rozpatrzyć szereg innych ważkich problemów. Żadnej uchwały jednak nie podjęto. Tylko fragmenty niektórych głosów: TA-DEUSZ JANUCIK z Łomży: — Budynki Szkoły Podstawowej w Bożymach został wybudowany w latach 1912—1916 i nie może już należyście wypełniać swoich funkcji; EUGENIUSZ BARSZCZ ze wsi Łaski gm. Zbójna: — O budowie lecznicy zwierząt w Zbojnej mówi się od kilku lat. Niedotrzymywanie raz przyjętych postanowień podważa zaufanie do władz; WALDEMAR PIECHOWICZ ze wsi Biała Zieja gm. Boguty Panki: — Naszej gminie przydałby się choć jeden pawilon spożywczy, bo jak dotychczas, wszystkie sklepy — nie jest ich za wiele — mieszczą się w budynkach prywatnych; ZYGMUNT BOROWY: — Usługi pozostały daleko w tyle, przynajmniej o pięć lat, w stosunku do tempa budownictwa mieszkaniowego. Zapomniano o drogach, żłobkach, przedszkolach, sklepach. Odstąpiono od realizacji usług podstawowych na parterach bloków oddających osiedla pawilonami — straszylami, zajmującymi uzbrojoną powierzchnię, na której mógłby stanąć blok mieszkalny ze sklepami na parterze. Pytam się, gdzie jest ochrona gruntów?; LECH GIZELBACH (członek zarządu NSZZ „Solidarność” — Region Mazowsze): — Czy nasza solidarność nie powinna wyrażać się między innymi tym, że radni zaczęli w sposób autentyczny kontrolować i dopingować władze? W Grajewie od 10 lutego br. ani drgnęła oczyszczalnia ścieków, a miała powstać — jak orzekli eksperci — w ciągu cze-

rech miesięcy. Bez użytku stoi olbrzymia fabryka nabiału zbudowana za pół miliarda złotych; MARIAN CHOJNOWSKI (przewodniczący MKZ „Solidarność”): — Doceniamy chęć współpracy WRN z NSZZ „Solidarność”. Przedstawiony program budownictwa mieszkaniowego jest niekonkretny. Używa się w nim sformułowań: „prowadzone będą działania...” Jakże działania? „Zakłada się...” zamiast „zobowiązuje się”, co powoduje, że przedstawionego dokumentu nie można uznać za program, a raczej za zbiór życzeń, które nie mają adresata; STANISŁAW CIUPA, wicewojewoda łomżyński: — Najpierw musimy wytyczyć cel najgłówniejszy na bieżącą pięciolatkę, tj. program budownictwa mieszkaniowego, a później uzupełnić o resztę: budowę szpitali, ośrodków zdrowia, przychodni, przedszkoli, żłobków. W ramach uzupełnień mieści się też infrastruktura techniczna.

OD PIĘCIU MIESIĘCY budowa Zespołu Przychodni Specjalistycznych w Łomży nie może ruszyć z miejsca. Stało się tak z chwilą zmiany pierwotnego właściciela obiektu, którym miał być Komitet Wojewódzki PZPR. Jak wyjść z zakłętą kręgu niemożności zastanawiano się na naradzie zwolanej w dniu 28 lipca 1981 r. Przy wspólnym stole zasiadli przedstawiciele administracji (wicewojewoda Stanisław Ciupa) inwestora (WDRMiOW), wykonawcy (piski „Budopol”); dyrekcji kilku łomżyńskich zakładów oraz SKAB-u i „Solidarności”. Ustalono, że do 10 sierpnia br. dyrekcja zakładów pracy wraz z zakładowymi organizacjami zorientują się, jakie prace na rzecz Zespołu są w stanie wykonać i zgłosić swój udział inwestorowi. Narada wykazała nikt nie zainteresowanie dyrekcji zakładów uczestnictwem w tym przedsięwzięciu, ponoć przerastającym ich skromne możliwości. Główny wykonawca — „Budopol” — stwierdził, że budowa jest pozaplanowa i nie ma w związku z tym przydziału materiałów. W tym stanie rzeczy życzenie wicewojewo-

dy, by następne spotkanie było poświęcone kłopotom wynikającym ze zbyt szybkiego tempa robót „Kontakt” zapisują na rzecz dobrego samopoczucia miejscowych władz.

MOŻNA ODDYCHAĆ. Niebezpieczeństwo wytrucia chlorem mieszkańców Łomży zostało zażegnane. Trzy pojemniki o pojemności 500 litrów każdy, zawierające chlor w stanie płynnym, zakupiło w celu uzdatniania wody do picia Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży. Rychło zrezygnowano z tego sposobu, zdając się na studnię głębinową, gdyż chlor wracał na powrót do Narwi i zatrwał środowisko naturalne. O pojemnikach zapomniano. Przypomnieli się same po ośmiu latach. Uszczelnienie zaczęło puszcząć, a na spawie kolnierza zrobił się mały otwór, przez który pod wpływem ciśnienia 8 atmosfer zaczął gwałtownie wydobywać się zabójczy gaz. Postawiono na nogi milicję, by w razie czego ewakuować ludność z najbliższego sąsiedztwa. Wezwana równocześnie sekcja ratownictwa szybko uporowała się z tą „bombą chemiczną”. Zbiorniki wywieziono i zawartość zniszczono. Teraz możemy pogdybać. Gdyby zbiorniki nagle rozsądziło, uwolniony gaz przy sprzyjającym i silnym wietrze w centrum miasta, przywiałby tę duszącą chmurę, która układałaby ludzi pokotem. Chlor jest silnie toksyczny, działa porażająco na drogi oddechowe. Odpukać. Nic się takiego nie stało.

Radzimy łomżyńskim przedsiębiorstwom przypomnieć zawczasu, czy nie chowają nam innej „miley” niespodzianki. Zaś dyrekcji PPS — mimo wszystko — życzymy trochę lepszej pamięci. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

W „ZDARZENIACH” („Kontakty” nr 29) chochlik drukarski zmienił funkcję Romanowi Englerowi. Oczywiście, jest on przewodniczącym Zarządu Miejskiego ZSMP w Łomży, a nie Wojewódzkiego tejże organizacji. Przepraszamy Czytelników i przewodniczących obu ogniw, życząc im owocnej pracy na powierzonych funkcjach.

PUNKT WIDZENIA

krótka historia o błogosławieństwie dla cudownej sieci wujka Stefana

Jaki Wujek jest? — Wujek jest w życiu nowoczesny. Wielu ludzi lubi być nowoczesnymi, więc czytują na dodatek i Wujka. Dawniej dzieliło się społeczeństwo na klasy, Wujek jednak nie jest takim konserwatystą. Dzieli ludzi na twardogłowych i miękogłowych. Sam określa się jako miękogłowy, lubi zatem podobnych, a pozostałym — z dobroci oczywiście — stara się też rozmiękczyć mózgi.

Niedawno Wujek lub jego Prawa Ręka (Wujek jakoś bardziej lubi tę stronę) znów nas unowocześnił. Wujek to właściwie jest Pan, ale taki, który lubi być lubiany — dlatego nazywam go Wujkiem.

Wujek z przyzwyczajenia należy też do Partii, choć jest bardziej praktykującym niż w nią wierzącym. Ale ad rem. Otóż niedawno Wujek w swej rezydencji przyjął „Przedstawicieli”. Z tego powodu Wujek lub jego Prawa Ręka, wyraził publicznie, na łamach, swe cieszenie się i wzruszenie.

A stało się to za przyczyną przedstawienia Wujkowi przez owych „Przedstawicieli” projektu roboczego ustawy o przedsiębiorstwie społecznym. I nie byłoby w tym nic dziwnego, w końcu każdy, kogo Wujek raczy przyjąć, może Go odwiedzić i też wręczyć Mu — choć nie jest posłem — jakiś projekt jakiejś ustawy.

Jednak dziwne rzeczy mają to do siebie, że dzieją się same. Goście Wujka, o czym niezwłocznie poinformował cały kraj, okazali się „Przedstawicielami” czegoś, co oficjalnie nosi nazwę Sieci Organizacji Zakładowych NSZZ „Solidarność”. Owi Przedstawiciele mieli „sami” zebrać się gdzieś w kraju, 8 lipca, w Gdańsku lub Szczecinie (miejsca Wujek, jako dobry konspirator, nam jednak nie zdradził).

Otóż w Gdańsku lub Szczecinie tych przedstawicieli mogło być 3 tys. Ale kiedy Wujka odwiedzili (kiedy? — bo już 9 lipca opublikował w „Życiu i Nowoczesności” komunikat) — okazało się, że „[...] zakładów uczestniczących w Sieci jest już dziś parę razy więcej (dokładnych liczb nie możemy podać, ponieważ ruch roz-

wija się lawinowo i z dnia na dzień przybywa uczestników)”. Wujek nie przejął się brakami wychowania „Przedstawicieli”, choć nie byli uprzejmi podać Mu swych nazwisk. Może to zresztą nieważne. Ważne jest przecież to, że ON raczył ich przyjąć i pobłogosławić. Wujek jest skromny, więc przemilczał przed nami, ilu przyjął tych „Przedstawicieli”. Pewnie ich nie zliczył. Być może wpadło do niego wieczorkiem do Warszawy, 8 lipca owe 3 tys. z lawiną. Wujek nie lubi takich nieistotnych szczegółów. Z tego też względu nie podał nazwisk autorów projektu. Zaplątały Mu się tylko, tak jakoś do tekstu wstępniaczka 2 nazwiska konsultantów prawnych projektu.

Ale za to w ważnych sprawach jest Wujek zasadniczy. Mocno, mocno! skrytykował „Przedstawicieli”, że nie czytują „Z i N”. No, ale cóż zrobić. Wujek musi być wyrozumiały, bo przecież „[...] projekt Sieci rozdził się poza zasięgiem rozdziału dodatku”. Ciekawe też gdzie może być to miejsce nowonarodzenia, skoro dodatek rozchodzi się w całym kraju? A co tak Wujka wzruszyło? Jak to co! — Pomysł! Pomysł! Bo oto według projektu: i robi się przedsiębiorstwom wreszcie darowizny, rozdając im na własność nasz wspólny majątek ogólnonarodowy, i przedsiębiorstwa mogą robić z nim co chcą; nawet więc gdy splajtują, to i tak bankruci mogą jeszcze np. zażądać, żeby resztki im rozdać. A w razie czego można połączyć się z Fordem i wybrać go na dyrektora. A poza tym? Nie płatają się po radzie samorządu różni tacy — działacze z takich PTE, NOT, organizacji młodzieżowej, Ligi Kobiet, TPPR, LOK, nie wymieniając innych.

I cóż tak się buntujesz, Bracie? Jeśli pracujesz w starym, małym zakładzie, masz gorsze maszyny, więcej musisz pracować niż inni, a mniej zarobisz — to twoja sprawa. Od czego masz głowę? Kombinuj z kolegami z załogi! Może opłaci ci się zamienić piekarnię na jubilerę? To że setki ludzi będzie bez chleba? No to co? Przecież ważne jest to, kto ile

placi, a nie za co! — Będą się ludzie buntować? A niech tam, po niewczasie, niech robią sobie marsze protestacyjne rządowi! Będzie jakaś rozrywka, a nie ciągła nuda. — Że to jest właśnie społeczeństwo? — A my nie? Jak chcą być społeczeństwem niech nam za to płacą. W końcu to my, a nie oni, pracujemy w społecznym przedsiębiorstwie. — Dyrektor ci przeszkadza? To zmień dyrektora.

Mieszkasz w biednym województwie? A kto ci tam kazał się rodzić czy mieszkać? Rzuć to w cholere! — Nie masz gdzie indziej mieszkania? Nie masz forsy? Zdobądź łaski tych w lepszych zakładach. — Nie wiesz jak to zrobić? Twoja wina, zresztą poczekaj na wytyczne od Sieci i Wujka.

Jest tylko mały problemik: kto i

jak ma tę reformę zrobić? Ależ to pestka! Jest po to instrukcyjka, a robią to „Przedstawiciele”. ONI poinformują i poinstruują załogi. ONI poinformują i poinstruują organy i władze NSZZ „Solidarność”. ONI dadzą się potem powołać przez poinformowane i poinstruowane organy i władze związku do „Zespołu ds samorządu pracowniczego”. ONI to wtedy przepatrzą, zweryfikują załogę, usuną elementy, ocenią i zadecydują, kto ma a kto nie „kwalifikacje narodowe i moralne”.

A potem to już tylko, demokratycznie bez żadnych machinacji — a broń Boże! — zażądają i wymuszą na radnych i posłach, by zrealizowali reformę „zgodnie z wolą społeczeństwa”(!?)

Brawo Wujku! To jest to! Tak trzymaj się! G.B.F.

do załóg zakładów pracy

Do pracowników instytucji, spółdzielni i organizacji

Do młodzieży szkolnej

Do mieszkańców woj. łomżyńskiego

Rok 1981 został proklamowany przez Organizację Narodów Zjednoczonych Międzynarodowym Rokiem Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych. Hasłem przewodnim jest: „Równość i pełne uczestnictwo” [...]

Około 10 proc. mieszkańców naszego województwa stanowią osoby o ograniczonej w pewnym stopniu sprawności fizycznej bądź umysłowej. Trzeba pamiętać, że liczba inwalidów i osób niepełnosprawnych nieustannie rośnie. Powiększają ją ci, którzy do wczoraj jeszcze byli sprawni i silni. Wobec rozmiarów inwalidztwa niewystarczające są wysiłki instytucjonalno-prawne zmierzające do rozwiązania problemów wynikających z niepełnosprawności. Odczuwalną poprawę sytuacji może przynieść tylko wszechstronny zbiórowy wysiłek i zrozumienie problemów inwalidztwa przez całe społeczeństwo. Inwalidztwo jest bowiem problemem społecznym, a inwalidzi pełnosprawnymi członkami społeczeństwa wnoszącymi swój wkład w rozwój społeczny i budowę kraju.

Pomoc inwalidom nie jest „łaską” a moralnym obowiązkiem nas wszystkich.

Wojewódzki Komitet Międzynarodowego Roku Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych w Łomży ape-

luje do mieszkańców województwa o udzielenie pomocy wszystkim osobom niepełnosprawnym, które są wśród nas: w środowisku zamieszkania, pracy i nauki. Dobór form pomocy pozostawiamy uznaniu, inwencji i wrażliwości wszystkich tych, którzy na nasz apel odpowiedzą.

Wojewódzki Komitet Obchodów Międzynarodowego Roku Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych komunikuje, że działy służb społecznych zespołów opieki zdrowotnej mogą wskazać adresy osób niepełnosprawnych wymagających pomocy oraz udzielić informacji dotyczących form niezbędnej pomocy indywidualnej. W powyższych sprawach należy zgłaszać się do właściwych terenowo Zespołów Opieki Zdrowotnej według adresów:

1. Zespół Opieki Zdrowotnej w Grajewie, ul. Nowa 34, tel. 20-41.
2. Zespół Opieki Zdrowotnej w Kolnie, ul. Woj. Pol. 59, tel. 23-50.
3. Zespół Opieki Zdrowotnej w Wysokiem Mazowieckiem, ul. Szpitalna 5, tel. 20-47.
4. Zespół Opieki Zdrowotnej w Zambrowie, ul. Przyszpitalna 1, tel. 27-43.
5. Zespół Opieki Zdrowotnej w Łomży, ul. Skłodowskiej 1, tel. 57-76.

Wojewódzki Komitet Międzynarodowego Roku Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych w Łomży

cenzura trójkąta bermudzkiego



Rysunek Jerzego Dobrzyńskiego

cyzji administracyjnych, a więc dla kontroli w dużej mierze formalnej, podczas gdy w sporach sądowych, wywołanych decyzjami cenzury istotne znaczenie miałyby sprawy merytoryczne. Gdyby jednak upierano się przy powierzeniu kontroli cenzury NSA, to zasłaby konieczność nowelizacji ustawy, która jeszcze praktycznie nie funkcjonuje. Tego rodzaju nowelizacja byłaby ze wszech miar niepożądana. Natomiast najbardziej powołane i najbardziej przygotowane do rozpatrywania tego rodzaju spraw wydają się wydziały cywilne sądów wojewódzkich i Sąd Najwyższy, które mają wielkie doświadczenie w rozpatrywaniu sporów z prawa autorskiego i legitymują się postępowym i ustalibilizowanym orzecznictwem.

3. Dotychczasowe podporządkowanie Głównego Urzędu Kontroli Prezesowi Rady Ministrów trzeba oceniać negatywnie. Miało ono charakter formalno-ceremonialny, skutkiem czego nie zapobiegało poważnym naruszeniom praworządności, o czym za chwilę. Wobec tego urząd cenzorski należałoby poddać kontroli Sejmowi, gdzie znalazłby się pod troskliwą i fachową opieką posłów — prawników i posłów reprezentujących związki twórcze.

4. Od kontroli cenzury nie powinno być odsunięte społeczeństwo. Winna je reprezentować Komisja Porozumiewawcza Związków Twórczych (powstała niedawno), która mogłaby się zwracać w uzasadnionych przypadkach bezpośrednio do odpowiedniej komisji sejmowej lub występować w procesach sądowych jako rzecznik interesu społecznego. Taki polski ombudsman...

W „bermudzkiej trójkącie”

Jak wspominałem, autor ma do czynienia nie tylko z cenzurą organów państwowych, do niej formalnie powołanych. Wydawnictwa i redakcje, z którymi się kontaktuje łatwo zapominają o swojej pozycji regulowanej przez prawo autorskie i przez umowę wydawniczą. Wyznacza im ona rolę równorzędnej strony w stosunku do autora. Umowa ta jest po prostu odmianą zwykłej cywilnej umowy, która rodzi uprawnień i obowiązków dla obu stron. I to wszystko. Tymczasem autor zde-

rza się niejednokrotnie z uproszczeniami cenzorskimi. Niekiedy wydawca czy redaktor zagada językiem władzy, który skrywa zuchwałą ignorancję.

Trzecim wierzchołkiem tego trójkąta jest ośrodek prasowo-ideologiczny partii, z którym już autor nie może mieć bezpośredniego kontaktu. Wierzchołek ten tonie w pełnej ano-

dawnictwa. Wtedy były jeszcze opory, w pionie propagandy. Ale teraz nie musimy się już wzdragać, bo ci z tego płonu akurat odeszli”. To pięknie, ale mniej pięknie, że głos pisarzy, a także opinia zasiadającego i zapamiętałego członka Komitetu Centralnego nie liczyły się wcale. Bo, jak pisałem w moim Liście do Delegatów na VIII Zjazd PZPR (z 15 stycznia 1980 r.), wróg ideologiczny to kapitał, którego nie można pomniejszać. „Twierdzą nam będzie każdy wróg”.

Miłosz w dalekiej Kalifornii na pewno nie słyszał o losie, jaki spotkał innego laureata Nobla, francuskiego biologa Monoda. Jego książkę wydrukowano wprawdzie, ale nigdy nie dotarła do czytelników. Cenzor w ostatniej chwili, bo już w szczotce wyłapał, że Monod nie ma zielonego pojęcia o materializmie dialektycznym i jego czterech prawach. Książkę Monoda skonfiskowano. Jest jednak dostępna nie tylko w języku oryginału, lecz również w języku rosyjskim. W sprawie pana Monoda może dalszych wyjaśnień udzielić redaktor Niekowski (PIW), który powinien ponieść odpowiedzialność za straty finansowe, na jakie swoją lekko-myślnością naraził Wydawnictwo. Za donos, Pana Niekowskiego przepaszam.

Inny przebieg miała sprawa Arystofanesa. Były to czasy, kiedy reżyser Dejmek był członkiem partii. Przygotował mianowicie cykl sztuk Arystofanesa w swoim opracowaniu reżyserskim, a muzycznym Kisielewskiego. Pozornie niewinne przedstawienie teatralne nie uszło jednak uwagi cenzora. Przywołał Dejme i zażądał tekstów komedii wraz z opracowaniem reżyserskim. Wykrętne tłumaczenie Dejme o klasyce itp. nie znalazły wiary. Nigdy nie zgadnienie, czym to się skończyło. Nie koncepcja reżyserska wzbudziła podejrzliwość cenzora, ani nawet muzyka Kisielewskiego, chociaż samo to nazwisko nie mogło budzić zaufania. Najgorzej wypadł sam Arystofanes. Cenzor dobył z „Zab” polityczną aluzję sprzed około 2500 lat (sprawdziłem w encyklopedii), obnażył jej treść antysocjalistyczną i zlikwidował inkryminowaną kwestię.

W sprawie szczegółów dotyczących sprawy Arystofanesa proszę się zwracać do pana Kisielewskiego, kompozytora, pisarza, felietonisty i znanego „wroga” klasowego.

Natomiast obroną ręką, chociaż nie bez trudu, wyszedł Pascal. Jeden z moich starych znajomych, z którym łączy mnie dobra komitywa, opatrzył swoją monografię (tytuł jej nie ma tu znaczenia) mottom z Pascala. Powstał problem, jakkolwiek w żaden sposób nie można było ustalić, kto w trójkącie „bermudzkiej” żąda usunięcia motta. Dość, że nalegano energicznie:

— Po co to panu? I bez motta wiadomo o co panu chodzi.

Sprawa nie była łatwa. Istotnie, pustelnik z Port Roya chlapał coś niepotrzebnie o tyranii. A jednak krnąbrny autor uratował mistrza Błażeja zadając proste pytania.

W sprawie Pascala już do mnie kieruję. Dyskrecja jest ostoją narodów!

Na szlaku do Capowic

Ale dosyć żarcików; nie do śmiechu nam dzisiaj. Samowola stanowiła jaskrawe naruszenie konstytucji, całych zespołów norm prawnych. Lata takiej samowoli wyrządziły olbrzymią szkodę kulturze i nauce, opóźniły ich rozwój, ośmieszyły nasze państwo. Sprawcy tych spustoszeń winni być pociągnięci do odpowiedzialności przed Centralną Komisją Kontroli Partyjnej. Jej werdykty muszą dać pewność, że położono kres naigrywaniu się z twórców, że przestanie się wmawiać aparatowi partyjnemu i państwowemu, że najlepiej jeżeli tę podejrzaną grupę zawodową świadczących „nieprodukcyjne usługi” (w ramach „deficytowej” kultury) wieść będzie niewidzialna ręka cenzury. Dopiero te werdykty mogą zatrzasnąć rogatki na szlaku, który wiedzie prosto do „Wielkiego Świata Capowic”.

STANISŁAW EHRlich
nr legitymacji partyjnej
1025386

Warszawa, 11 X 1980 r.

PS. Kogoś może dziwić numer pod nazwiskiem. Od lat różni ludzie dopytawali się: Pan jeszcze w partii? Odpowiadałem niezmiennie: jeszcze.

punkt widzenia



właściciela. Na przyzbie najmłodsza córka skubała dorodnego kuraka. Popatrzyłem chwilę na ten nieco-dzienny obrazek, dziękując Bogu, że za patrzyenie jeszcze nie żąda się kartek. Przelknąłem ślinę i przywitałem się pod rozłożystą lipą z gospodarzem. Dopiero co skończył ociosywać dębowy kloce, żeby poręcznie było ciąć na deski.

— Do domu wróciłem w poniedziałek o 12 w nocy — mówi, gdy pytam, kiedy przybył ze Zjazdu. — Wszyscy jeszcze przed telewizorem siedzieli.

Powitanie było suche — pomyślałem zobaczywszy tylko jedną butelkę po „czystej”. W kuchni, gdzie zasiadamy do rozmowy, krzątają się żywe jak rćć, córki pana Witolda. Mieszkanie jest pełne młodych ludzi. Co chwilę ktoś wpada: a to zięć, syn, a to kolega syna. Mimo lipcowego święta wszyscy zapracowani. Gospodarz żartuje, że nastawił się na wąską specjalizację — żeńską. Trzy córki i jeden syn. Razem z ojcem tworzą niemalże Front Jedności Narodu. Najstarsza, Irena — ekonomistka jest członkiem PZPR i „Solidarności”, młodsza od niej Urszula — członek „Solidarności”, najmłodsza Gabriela — ZSL i związek branżowy. — W naszym zakładzie jeszcze nie założyli „Solidarności” — mówi jakby na usprawiedliwienie. Tylko 24 letni syn Andrzej nigdzie nie przynależy. Polityczna „tabula rasa” — robi w domu za b.p.

— Sąsiedzi wiedzieli, że jadę na Zjazd, ale nie mi nie przykazywali — rozpoczyna pogawędkę Witold Malinowski — mówili tylko: „Malinowski zna nasze problemy, nie musimy mu podpowiadać, jakie sprawy ma poruszyć”. Zawsze interesowałem się tym, co wokół się dzieje. Jak zobaczyłem listonosza, to leciałem z pola, żeby chociaż bieżące wiadomości przeczytać. O polityce nie dyskutuję. Sam sobie przemyszę i sprawdzę się. Muszę sam dojść do przekonania. Ładnym mówieniem nikt mnie nie przekona.

Od tej pory każdy krok nowo kreowanego członka KC będzie pilnie obserwowany przez sąsiadów. Jego pola graniczą z ich polami. To co teraz rzeknie i uczyni będzie nie tylko słowem czy czynem Witolda Malinowskiego, ale również członka KC; tego KC, które ogłosiło się historycznym i powołane zostało do historycznych zadań.

— Myślałem, że na Zjeździe będę najstarszy, bo ja z 13 grudnia 1921 roku, ale w moim wieku było sporo delegatów. Mieszkałem w dwuosobowym pokoju, razem z kierowcą z Zambrowa, w hotelu „Polonia”. Elegancko, blisko do Sali Kongresowej. Ja w Warszawie już czwarty raz, przedtem na III Zjeździe Kółek Rolniczych, na dożynkach centralnych.

Proszę o życiorys, gdyż mój rozmówca jest rodzinie — jedyny członek KC z województwa łomżyńskiego, więc czytelnicy ciekawi, kto zacznie będzie im odnowę robił.

— Do 1939 roku pracowałem przy rodzicach na gospodarce. Dziewięcioro nas w domu było. W 1941 roku Niemcy wywieźli mnie do Prus na roboty, ale po tygodniu zwałem. Drugi raz wzięli mnie za siostrę 1 czerwca 1942 roku. Trafiliem do Królewca. Tam wyzwoili mnie w marcu 1945 roku Armia Czerwona. Znalazłem się w jej szeregach, gdyż nasze tereny liczone jako Białoruś. Walczyłem w V armii na froncie japońskim w Mandżurii. 24 kwietnia 1947 roku wróciłem do rodziców. Od 1959 roku w partii. Teraz jestem członkiem Komitetu Gminnego w Grabowie i członkiem egzekutywy KW w Łomży.

— No i jeszcze...

— Członkiem KC, ale tego najmniej się spodziewałem. Zjazd był prawdziwie demokratyczny. Każdy odczuł, że tak otwarcie, wprost może wypowiadać to, co myśli. Przedtem człowiek bał się na zebraniu odezwać, żeby kogoś nie obrazić. Chciał ja nigdy w bawelnę nie obwijać. Jeżeli wszystko co uchwaliliśmy będzie realizowane — a musi być, bo mandat każdy zachował i będzie się rozliczać nieprzydatnych — wówczas staniemy na nogi.

Pytam, wiedziony ciekawością, o kulisy Zjazdu.

— Na początku pewne jednostki próbowały zrobić rozróbę, bibule puszczali przed wyborami — kogo skreślić, ale nie im z tego nie wy-

Ziemia rodną Adam Jerzy Socha Kamienie

szło. Wszyscy kandydaci byli szczegółowo analizowani. Jednemu wyłapano, że wstąpił do partii mając 15 lat. Zaraz ktoś zapytał, jak to możliwe? Okazało się, że błędnie wpisano datę urodzenia. Po wyborach aparat był obrażony, że nie przeszedł w całości. Dobrze się stało. Działacz partyjny musi być przyklejony do jakiegoś zakładu. Tam, w stoczni czy kopalni niech się sprawdzi. Sprawa Siwaka? Było trochę zamieszania. Nie rozumiał dobrze, tego słowa, którego Bratkowski użył na konferencji prasowej. Bratkowski powiedział o magmie, a Siwak zrozumiał: błoto.

— Nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć — bąknął pod nosem.

— Na Zjeździe głosu nie zabrałem, pochłaniała mnie praca w zespole — rolnym. Złożyłem swoje wnioski na piśmie, bo do mnie już nie doszła dyskusja. Poruszyłem w nich trzy problemy:

Pierwszy: Zaopatrzenie rolnictwa w podstawowe środki produkcji. Do tej pory mówiono, że rolnictwo jest w tyle za przemysłem, a okazało się, że to przemysł się spóźnia. Brakuje nawet gwoździ. Kiedyś te drobne rzeczy kował robił. Przy SKR-ach i POM-ach są warsztaty, tylko robią nie to co trzeba. Tłumaczą się, że robienie dla rolnictwa drobnych rzeczy im się nie opłaca. Co to za tłumaczenie?! Chłop też powie, że mu się zboża nie opłaca siać! Tę sprawę trzeba już dzisiaj zmienić. Władze wojewódzkie muszą odzwyczaić się od czekania na decyzje odgórne. Był u mnie kiedyś sekretarz rolny z województwa i płakał, żeby dawać więcej zboża, bo musimy sprowadzać za dewizy. To po co im płacicie — pytam go — naszemu rolnikowi zapłacić.

Druga: pewność jutra. Niech rolnik czuje się prawowitym właścicielem ziemi. Trzeba zmienić sprawy emerytalne, żeby mąż nie był zależny od żony i odwrotnie. Dzieci nie chcą przejmować gospodarstw, bo w każdej chwili mogą one przejść na rzecz państwa.

Trzeci: Opłacalność produkcji. Nie może być takiej huśtawki cen. Zacz-

nie rolnik hodować krowy, za tydzień ceny się zmieniają, porzuca krowy i hoduje świnię, a przecież w tydzień krowy się nie wyhoduje. Zrobić tak, żeby rolnikowi opłacało się siać i hodować, a przemysłowi produkować lemiesz. Rolnictwo to warsztat pod gołym niebem. Trzeba widzieć jego problemy nie tylko w teorii.

Głodem nie myśli gospodarz reporter z domu wykurzyć. Polityka polityką, ale zjedźmy jajeczka. Pojedlim, gospodarz zapalił, a ja zacząłem ciągnąć go na wywody o wielkiej polityce. Witold Malinowski odpowiada, chociaż widać, że pewnie czuje się na twardym, kamienistym gruncie problemów łubieńskich. Mimo to robię test członkowi KC.

— SKR-y: Potrzebne. Mniejsze gospodarstwa same sobie nie poradzą. Ceny usług wzrosły, gdyż dotychczasowe nie pokrywały kosztów.

— Nie pokrywały, gdyż eksploatacja sprzętu woła o pomstę do nieba — replikuję.

— Prawda. W Grabowie jest 16 snopowiązałek, ale już wszystkie zużyte. Rolnik zawsze swoje maszyny dojrzy, każdą śrubkę dokręci. W 1960 roku mieliśmy własne kółko we wsi. Jeden traktor i sprzęt do niego. To było dobre rozwiązanie.

PGR-y: Nie można wszystkich likwidować. Ziemię mają prawie najlepszą, bo po dawnych majątkach. Stąd od nich najlepszy materiał siewny, nowe odmiany zbóż, ziemniaków, bydło zarodowe. Rolnik temu nie podola. PGR-y źle prosperowały, bo narzucano im, co mają siać. Rolnictwo jest jedno. Nie należy robić przywilejów dla PGR-ów, a z drugiej strony tworzyć kapitalistów, kosztem wsi.

Władza: Odizolowała się od ludzi. Drzwi obila, żeby skarg robotnika i chłopu nie słyszeć. Taki chiński mur przed społeczeństwem postawili. Tylko, że Chińczycy po to stawiali, bo u nich była wyższa kultura, a za chińskim murem władzy z tą kulturą różnie bywało. Teraz te drzwi powinno się w ogóle wyjąć. Władza powinna być jak ojciec w rodzinie. Niemcy wyróżniali swoją rasę.

Polityk: byłem w egzekutywie komitetu, gdy Gierek przyleciał helikopterem do Łomży. Najpierw odwiedził PGR, odpowiednio odżykowany. Później przybył do KW. Tak żarliwie mówił o konieczności uprzemysłowienia regionu, tak po robotnarsku, że człowiek nie mógł nie wierzyć. Po nim wystąpił Zawodziński, przedstawił sytuację polityczną województwa i wręczył kryształowy puchar Gierkowi. — Nie wypada mi nie przyjąć, ale na przyszłość nie róbcie tego — upomniał. Następnie goście z I sekretarzem KW i wojewodą poszli na bankiet do „Poloneza”, a reszta egzekutywy na spotkanie z młodzieżą w domu kultury.

Socjalizm: Rozumiem tak, żeby wszystkim ludziom żyło się na równi, żeby nie było uciemiężonych — czerwona burżuazja na duże wybryki się puszczała. Nie mogli w wannie się kąpać, musieli zaraz basen budować. Rozumiem, że człowieka kusi, dlatego trzeba wybierać odpowiednich ludzi.

Sojusz robotniczo-chłopski: Chłop z robotnikiem szybciej dogada się pod gruszą, niż ministrowie w biurach. Nastawiono robotnika na chłopca, a chłopca na robotnika; a przecież większość wywodzi się ze wsi. Do nas górniczy przywieźli węgiel w zamian za ziemniaki. Oni nam, a my im. Jedna wieś rzekła się kartek na rzecz górników, żeby był węgiel. Wieś miastu, a miasto wsi musi pomagać.

Rola prasy: Pokazywać dobre, ale jak jest źle, to mówić, że jest źle. Chłop czy robotnik już przedtem atakował, ale nikt go nie słyszał. Po to jest prasa, żeby było ich słychać. No tak, stara gwardia czuje się zagrożona.

Kontrewolucja: Do tego na pewno nie dojdzie. Są dwa sposoby państwa. Jeden — przeobrazić ustrój, ale na gruncie socjalizmu; drugi — zupełny przewrót. Jestem za tym, by zmieniać, ale dla dobra ustroju socjalistycznego.

Sierpień: Robotnik o stopę życiową się upomniał.

Samorząd pracowniczy: Załoga powinna mieć wpływ na decyzje, ale należy zaspokoić potrzeby ogólnokrajowe. W istniejących zakładach można myśleć o wyborze dyrektora, dla nowego zakładu trzeba wyznaczyć i oceniać dopiero w trakcie działalności.

Najpilniejsze zadanie dla narodu: Osiągnąć ład i porządek. Mówić wprost, co można dać, nie czekać na strajki. Likwidować import spinnaczy biurowych, kleju i bibulek do papierosów.

Jak ten egzamin wypadł dla Witolda Malinowskiego?

Po tym maglowaniu proponuję przechadzkę po gospodarstwie delegata. Moment sprzyjający, jako że przestało kropić. Zaglądamy wpierw do obory. Przedłużona z obu stron dobudówkami, prezentuje się okazała. W jednym z pomieszczeń chrząka schabik, szynka i inne delicje, nie znane nam, kartkowiczom. Za oborą na rozległej łące pasie się 30 owiec — Nastawiłem się na owczarstwo, kożuchy się dzieciom poszyje. Opłaci się hodować, gdyż wełna poszła w górę. Obok siebie stoją dwie stodoły. Nowa i stara — stara przeznaczona była do rozbiórki, ale syn zdecydował się zrobić w niej pieczarkarnię. — Dzisiaj młodzi inaczej kalkulują. Wychodzą z obęścia, gdyż gospodarz korzystając ze spaceru chce obejrzeć zboże. — Ojciec mój, miał 8 hektarów ziemi, dokupiłem jeszcze pięć. Idziemy polną drogą — po jednej stronie łąk żyta, po drugiej dorodne krzaki ziemniaków. Dalej gryka „jak dziecięciną pała”, wdychamy miodowy zapach.

— Pszczoły by się przydały. — Dochodzimy do lasku, pod którym rośnie owies. Wedle słów pana Witolda lasek był kiedyś potężnym lasem. Roszanie wycięli go na budowę bunkrów. Odróśli z samosiewów, ale już nie ten. Przy życiu Witold Malinowski bierze do ręki ciężki kłosa i wyłuskuje ziarno.

— Te hasło: „Każdy głos na wagę złota” należałoby zmienić na „ziarno do ziarnka”. Co z tego, że zbierze się kłosa, jak w nich ani jednego ziarnka nie będzie. Jeżeli w czas się nie skosi, wszystko wysypie się na ziemię — mówiąc to przelamuje na paznokciu ziarno, co jest widomym znakiem, że żniwa tuż, tuż. Wracamy wzdłuż brzoźowego szpaleru, posadzonego przez pana Witolda. Coś mnie zastanowiło, ale nie wiem co. Dopiero przy obiedzie skojarzyłem. Dłonie delegata przelamujące ziarno, jak na rolnika, delikatne i wypielegnowane. Czyżby podczas zjazdowej przerwy wypoczęły i odżyły? Okazuje się, że od kilku lat Witold Malinowski tylko wspomaga syna w gospodarstwie, a właściwie jego praca to prezenterowanie w GS Grabowo. Nie umniejsza to jego wiedzy rolniczej w niczym, przynajmniej sąsiedzi. Pora kończyć biesiadowanie, gdyż pod bramę zajęchały trzy ciągniki z przyczepami pełnymi desek do pieczarkarni. Gospodarz odprawia mnie na drogę i żegna zapewnieniem: — Nie zawiodę zaufania.

„Nie zawiodę zaufania”, „nie zawiodę zaufania” — kołaczę mi się po głowie jak refren popularnej melodii, pożegnalne zapewnienie. Płaczę się po głowie, gdy mijam gospodarstwa starowinków, których domy i obórki, tak jak oni, pochylone i zmurszałe. Dzieci wyfrunęły. Zjeżdżają tylko w porę żniw. Właśnie w jednym z obęści stoi fiat z przyczepą campingową. Na ojcowiznę chętnie wróciłby syn jednego z 80-letnich gospodarzy, ale niepewny — czy ziemia będzie jego, czy przejmie ją państwo.

Syn Tadeusza Skrodzkiego gospodarzy wspólnie z ojcem na 30 hektarach, ale pan Tadeusz żali się, że tak dalej nie idzie żyć. Sznurek jeszcze udało się złapać, ale towotu nie ma, a bez towotu żniw nie zrobi. Był w grajewskim CPN, ale dwa dolary puszcza.

— Nam dolarami nie płacą — mówi rozgoryczony — a Malinowski nie najgorszy człowiek, słów na wiatr nie rzuca. To gdzie go wybrali? Do „Ka-ce?” No to się cieszym. Może będzie naszych spraw pilnował, na rolnictwie dobrze się zna, bo tak dalej nie idzie żyć.





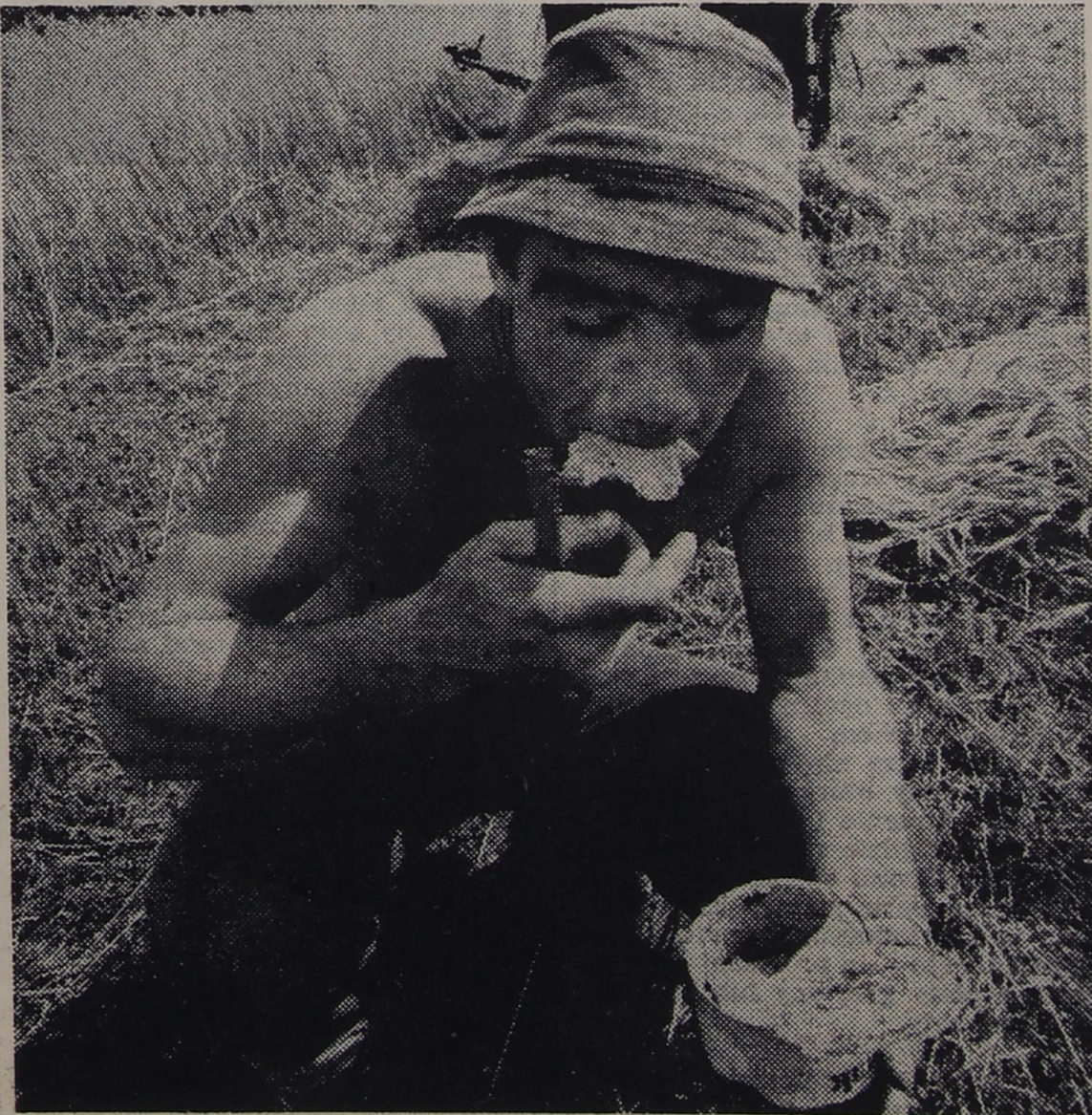
Natura śpieszy nam z pomocą w ciężkich dniach kryzysu gospodarczego, jakby chciała odrobić lata swoich kaprysów. Ciężkie, złote kłosa proszą o kośbę. Żytnie żniwa osiąga już półmetek. Dziesiątki snopków rosną jak grzyby po deszczu, choć pierwsze pojawiły się trzy tygodnie temu w gminach: Nowogród i Rutki.

Jan Jamiolkowski, wicedyrektor Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego, informuje, że w bieżącym roku przygotowanie do „żniw „jakoby jest lepsze niż w latach ubiegłych”. Na pola — o łącznej powierzchni 196 tysięcy hektarów — wyruszyło w sumie 295 kombajnów, 674 snopowiązalki i 64 prasy zbierające z baz

eskaerów oraz 85 kombajnów i cztery tysiące snopowiązalek prywatnych.

Dotkliwie we znaki daje się brak części zamiennych, akumulatorów i ogumienia. Pierwszych dwanaście awarii snopowiązalek oraz dwie kombajnów udało się szczęśliwie usunąć, dzięki 62 pogotowiom technicznym, wyposażonym w radiotelefony. W punktach obsługi sprzętu trwają dyżury do godziny 20.00 w dni powszednie, a do 14.00 w wolne od pracy.

Rolnicy ukosem patrzą na te optymistyczne dane i — póki co — liczą na własne siły. Wyciągają stare kosy, klepią je już od świtu. W polu jedzą śniadania, obiady, kolacje. Niebo im dachem, a rzysko — stołem. (sz)



Fotoreportaż GABOR LÖRINCZY

rzysko im stołem

dobra nasza

Życie sądu ogniskuje się w bufecie na dole. Socjolog prawa mógłby napisać na ten temat niełatwą pracę doktorską. W bufecie spotykają się przy kawie niedawni przeciwnicy procesowi i świadkowie, oskarżeni (rzecz jasna, jedynie ci, którzy odpowiadają z wolnej stopy) i pokrzywdzeni. Bufet cementuje, jednoczy, zaciera podziały. Nie przez przypadek praktykantów i aplikantów sądowa plota ochrzciła mianem bufetantów. Prezesi patrzą trochę krzywo na to prześiadanie przy kawie, ale i oni sami nierzadko zaglądają do „Madesu” (bufet mieści się w suterenie).

W opowieściach korytarza sądowego bufetowi przypada szczególna rola. Ciągłe jeszcze, na przykład, nie brak takich, którzy wierzą, że mecenas „załatwi z sądem sprawę”. Kiedy później widzą nad małą czarną w bufecie pospół adwokatów, prokuratorów i sędziów, zacierają ręce: dobra nasza.

— To fakt — przyznaje prokurator Jolanta Downarowicz — że trzeba liczyć się właśnie z takim odbiorem. Może dlatego coraz bardziej zamykamy się w swoich kręgach zawodowych, a to jest niedobrze. Z drugiej jednak strony mamy świadomość, że pozostajemy na „widelcu”. Trzeba po prostu unikać stwarzania okazji do plotek.

Sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, gdy rozmawiałem na temat tego problemu, utrzymywali na ogół, że jest on czysto teoretyczny, bo na dłuższe pogawędki w ciągu dnia i tak nie ma czasu, zaś bufet okupuje z reguły sądowa administracja. Pannie z sekretariatów oburzają się na takie gadanie.

— Jakby nie było tylu tych kaw w bufecie, to by wokanda szła bardziej punktualnie — odcina się pani Ziuta z wydziału cywilnego (imię zmienilem, bo pani Ziuta chciałaby jeszcze popracować parę lat w sądzie i, jak zaznacza, nie powinienem jej utrudniać urzędystwianienia tego zamiaru).

Sekretariat sądowy ma niezależne i samorządne spojrzenie na wymiar sprawiedliwości oraz jego klientów. To spojrzenie, z jednej strony determinują „numerki”, tudzież wypełniane dzień po dniu repertoria, z drugiej zaś — interesanci. Niektórych znają na pamięć. Pan Guryło, na przykład, właściciel dużej posesji, podający się za radcę prawnego, zakłada rocznie kilkanaście spraw cywilnych przeciwko swoim lokatorom. Skarży ich o co się tylko da: nieplacenie czynszu, złośliwe tarasowanie wjazdu do garażu (czyli, mówiąc językiem przepisów, „utrudnianie korzystania z urządzeń mieszkalnych”). Magister Guryło z reguły przegrywa sprawy, ale natychmiast zakłada następne i w ten sposób psychicznie wykańcza swoich przeciwników. Zwłaszcza, że przy okazji pasjami lubi pisywać skargi lub donosy, które szczerze rozsyła na prawo i lewo. Dziewczynki z sekretariatu nie lubią pana Guryły i się go bardzo boją, bo to człowiek niebezpieczny. Z takim lepiej nie mieć do czynienia.

W sekcji egzekucyjnej Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi dopadam akta procesu zakończonych już prawomocnym wyrokiem. Sprawca napadu siedzi; pozostała do zapłacenia nawiązka na rzecz poszkodowanego. Ślęcząc nad zapisanymi maczkiem stronicami (niestety, ogromna większość protokołów sporządzona jest ręcznie, na ogół nieczytelnie) łowią jednym uchem okrucieństwa dialogów, jakie toczą między sobą panie pracujące przy biurkach. Narzekają na zaopatrzenie i wymieniają informacje, co gdzie rano przywieźli. Znaczenie ciekawsi okazują się klientami. Podczas paru godzin jakie spędzam nad notatkami, przewinęło się ich kilkunastu — z prośbami o odroczenie zapłaty grzywny lub rozłożenie jej na raty.

Kierowniczka sekretariatu tłumaczy, że nie ma prawa podejmować w tych sprawach decyzji. Konieczne jest postanowienie sądu. Cierpliwie

MAREK RYMUSZKO

doradza każdemu, jak napisać podanie i gdzie je złożyć.

Młody człowiek z przyćmionym wzrokiem ostantacyjnie demonstruje swoje niezadowolenie. Z przedsiębiorstwa, gdzie pracował, wyniósł na lewo trochę towaru. Wyrok dostał w zawieszeniu, ale grzywnę — 15 tysięcy złotych — musi zapłacić teraz.

— Nie mam skąd wziąć forsy — żali się głośno.

powy diariusz degrengolady człowieka, zniszczonego przez wódkę, z zawodu kierowcy, od trzech lat nigdzie nie zatrudnionego. Zwolniono z pracy za prowadzenie autobusu w stanie nietrzeźwym. Ponieważ pił niemal non stop, żona zabrała dzieci i wyniosła się do rodziców. Wystąpiła też z pozwem o rozwód. Feralnego dnia pojechał do restauracji, gdzie była kelnerką. Przyszła, że się poprawi. Żądał wycofania pozwu. Na przemian groził i prosił. Nie zgodziła się. Wtedy wyjął nóż i ugodził ją w serce. Lekarze nie mieli już nic do roboty. Historia prawie jak w złej powieści. A przecież sędziowie muszą dopisać jej epilog.

Ale ja właściwie chciałem nie o tym. Otóż w sądzie nie od dziś —



— Czy pan pracuje?
— Właśnie się rozglądam za pracą.
— To niedobrze, bo gdyby pan przyniósł zaświadczenie o zarobkach, łatwiej by było uzyskać odroczenie. A w ogóle, proszę pana — ton pracownicy sekretariatu zaostroża się — dlaczego pan tutaj przychodzi pijany?

— Ja pijany? — obrusza się człowiek za barierką — Co pani przychodzi do głowy. Trzeźwy jestem ja... — chce prawdopodobnie powiedzieć: „jak świnia”, ale w porę gryzie się w język i mamrocząc pod nosem, opuszcza pokój.

— Mój Boże, co to się w narodzie wyprawia — ubolewa dziewczyna siedząca pod oknem. I dodaje: — Te chłopcy zupełnie nie mają rozumu.

Pijaństwo zawsze było w sądzie poważnym problemem. Wśród przestępstw popełnianych pod wpływem alkoholu przeważają drogówki i sprawy rodzinne, a także tzw. „chuliganki”. Nierzadko też zdarzają się zabójstwa. W czwórce karnej Sądu Wojewódzkiego przysłuchuje się od paru godzin rozprawie przeciwko Janowi K., oskarżonemu o morderstwo. Oto i historia stanowiąca ty-

co szczególnie wyraźnie widać właśnie od strony korytarza — nabrzmiewa zjawisko „zaprutych” świadków. Wiele w takich sytuacjach zależy od przewodniczącego rozprawy. Sędzia Andrzej Krasnodębski, który zginął przed kilku laty w wypadku samochodowym, nie tolerował świadków „pod muchą”. Gdy nabierał podejrzenia, że ma przed sobą człowieka po paru „głębszych”, natychmiast zarządzał poddanie go probierowi trzeźwości. Jeśli przypuszczenia się potwierdziły, delikwent płacił wysoką karę porządkową za naruszenie powagi sądu, a zdarzało się, że i wędrował na dobę do aresztu w celu wytrzeźwienia.

Są jednak i tacy sędziowie, którzy wolą nie dostrzegać problemu. W kłopotliwej sytuacji pochyla po prostu głowę nad aktami i kontynuują rozprawę, jak gdyby nigdy nic. Nie mam zaufania do takich sędziów. Nie lubię ich prawie tak samo, jak tych, którzy pokrzykują na świadków i traktują w sądzie człowieka niczym popychadło. Ostentacyjnie okazują swoje zniecierpliwienie, gdy ktoś nie potrafi się precyzyjnie wyśłowić — popędzają, dogadują, wygłaszają niepotrzebne komentarze. Często, choć nie wyłącznie, są to sę-

dziowie młodzi. Z zachowaniem tym kontrastuje spokój, kultura i opanowanie innych praktyków wymiaru sprawiedliwości.

Ot, choćby sędziego Zygmunta Mańka z Wydziału Cywilnego Sądu Wojewódzkiego w Warszawie (niedawno przeszedł do pracy w Nacelnym Sądzie Administracyjnym). Przysłuchiwanie się prowadzonej przez niego rozprawie, to autentyczna przyjemność. Sprawy też ma zresztą ciekawe: o ochronę dóbr osobistych, o dziedziny prawa autorskiego... — Właśnie my — zauważa sędzia Mańk — jesteśmy w pierwszym rzędzie powołani do tego, żeby uczyć ludzi kultury w szerokim pojęciu, a więc nie tylko prawnej. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł krzyczeć na świadka czy też popędzać go. Nie, to nie do pomyślenia.

Sędzia F., młoda, ładna, orzekająca w Sądzie Rejonowym, ma na ten temat nieco inny pogląd: — W Wojewódzkim celebrować sprawy, mogą sobie na to pozwolić. A co ja mam robić w sytuacji, gdy muszę w parę godzin załatwić kilkanaście wołand? Czy mogę się nie spieszyć? A poza tym, proszę pana, nie przesadzajmy z tą nieporadnością świadków. Pan, siedząc z boku, słucha, jak taki człowiek duka przed sądem i wydaje się panu, że to jest biedny, zastraszonego staruszek. A ja mam go już po raz trzeci za barierką dla świadków i wiem, że on po prostu pogrywa prostaczką, bo mu się to oplaça. Założę się, że ledwo wyjdzie za drzwi, powie: „Ale ich zrobiłem w konia”.

— Nie pojmuję — denerwuje się sędzia Mańk, gdy mu w kilka dni później relacjonuję tę rozmowę — jak można w ten sposób stawiać sprawę. My musimy świadkowi okazywać szacunek, nie możemy z góry zakładać, że on jest taki, a nie inny.

Dwa spojrzenia — dwie opcje. Dwie szkoły sądzenia.

Czy zjawisko „dyżurnych prostaczków” nie istnieje? Owszem, istnieje, choć zapewne nie należy go generalizować. Podczas rozprawy przeciwko starszej kobiecie, prowadzącej — jak ujmuje to akt oskarżenia — „nielegalny punkt sprzedaży alkoholu”, słucham dialogów, które prowadzi donikąd. Oskarżona udaje głuchą, prosi o kilkakrotne powtórzenie tych samych pytań. Piszę: „udaje”, gdyż manewrując w tłumku na korytarzu, miałem okazję przekonać się, że starowince znakomicie dopisuje i słuch, i wzrok. Na sali — inny człowiek. Mamrocze, jąka się, sprawia wrażenie osoby nie wiedzącej, o co chodzi.

— Cwane babsko — komentuje ławnik, kierownik kadr spółdzielni pracy, gdy już zrzucił po rozprawie tożę. — Czy pan wie, że ja ją pamiętam bodaj sprzed pięciu lat? Wtedy chodziło też o to samo.

— No i?

— Co: no i?

— Ile wtedy dostała?

— Tak jak i dziś, zawieszenie. Pannie, co można było zrobić? Wpakuje pan siedemdziesięcioletnią inwalidkę do więzienia? A na tę grzywnę, którą jej wlepił, czy dobrze pójdzie, zarobi w tydzień.

Kobiety stojące pod drzwiami mówią jeszcze coś innego: — Proszę pana, ona jest tylko podstawiona. Handluje syn, ale umówili się, że jak nakryją melinę, wszystko bierze na siebie matka, bo jej i tak nic nie będzie. Tysiąc zaświadczeń lekarskich z sobą przyniesie. A to, że nie ma ręki, a to płuca, a to wątroba, nie licząc stu procentowego kuku na muniu. A u niej, panie, taka krzepa, że młodemu dałaby radę. Pan wie, że oni w Sylwestra sprzedali sto litrów żytniej? Sama się później chwaliła.

Niewiasty, z którymi gawędzę, oczekują na inną sprawę, a tę znają jedynie po sąsiedzku. Zresztą w kamienicy na Targowej ciągle coś się dzieje. Proces, w którym mają zaświadczać o prawdzie, to typowa „przelawanka”: ktoś komuś dołożył, nie ma o czym mówić. Po takich mordobicach drużyny złożone z oskarżonych, poszkodowanych i świadków zjawiają się w sądzie w niezmiennym składzie. Prokura-

obyczaje



tor, który pcha się przez ten zwarty, scementowany obyczajowo tłum, nie kryje irytacji.

Już prawie dwunasta, a na wokandzie dopiero druga sprawa. Znowu poślizg jak jasna cholera. Na razie ciągle jeszcze sądzą wypadek drogowy: ciężarówka wpakowała się na tramwaj, niemal wjechała mu do środka. Szczęściem był prawie pusty. Dwie osoby zostały ranne, straty materialne oszacowano na 25 tysięcy złotych. Wina kierowcy ciężarówki rysuje się wyraźnie: widząc tory tramwajowe powinien zwolnić. Nie uczynił tego; myślał, że żądał przemknąć. Nie udało się. Miał w kabinie dwie osoby — pracowników z tego samego zakładu. Jechali służbowo do Warszawy, popędzali kierowcę, bo czas naglił. Kiedy nastąpiło uderzenie obaj, siłą odrzutu, wypadli z szoferki i mocno się pokiereszowali. Ale nie mają do kolegi pretensji. Trudno, stało się.

Prokurator przygląda się do muru szefa zakładowego transportu pytając o dopuszczalną liczbę osób w szoferce. Oskarżony płacze. Zarabia sześć tysięcy, ma na utrzymaniu chorą, nigdzie nie pracującą żonę i troje dzieci. Najmłodsze — trzyletnie.

Zapada wyrok: rok ograniczenia wolności. Kierowca ma pozostawać pod nadzorem, z każdej pensji będą mu potrącali dziesięć procent. Sąd w uzasadnieniu wyroku stwierdza, że wziął pod uwagę trudną sytuację rodzinną oskarżonego oraz fakt, iż jest on jedynym żywicielem rodziny. Na twarzy młodego chłopaka maluje się ulga. W korytarzu starsza kobieta gładzi go po włosach i popłakuje. Pewnie matka.

Rodziny oskarżonych — odrębny, wielki temat. Sąd musi rozważyć: czy kara będzie stanowiła jedynie dolegliwość dla skazanego, czy również dla jego najbliższych. Pytanie nieo akademickie, bo właściwie nie istnieje sprawa, gdzie te dwie kwestie udałoby się bez reszty od siebie oddzielić. Ten, kto z mocy orzeczenia sądu ma siedzieć za niezapłacone alimenty, nie będzie ich płacił dalej, bo i cóż to jest tych trzysta złotych, jakie co miesiąc otrzymuje żona za pośrednictwem zakładu karnego. Magazynier, który zarobił przez trzy lata miliony na skórach zagranicznych — wraz z wyrokiem straci wszystko: część, wolność i majątek, podlegający konfiskacie. Tym samym zostaje bezpowrotnie zaprzepaszczone dorobek życia również i żony skazanego, która — bywa — o niczym nie wiedziała.

Wystarczy popatrzeć na tę parę starszków: zrozpaczonych, przybitych, wysiadających godzinami w sali z nadzieją, że sąd wykaże wyrozumiałość wobec ich syna, który tak skutecznie przyłożył kółkiem po głowie jednemu z weselnym gości, że tamten został kaleką do końca życia. Jeszcze nim doszło do rozprawy sędziy przysłał do sądu pismo, z którego wynikało, że jeśli młody pójdzie siedzieć, gospodarke trzeba będzie przejąć na rzecz skarbu państwa. Wszystko w niej bowiem opierało się jedynie na sile młodych rąk. Sędzia C., który nie darzy nadmiernym zaufaniem dokumentów podpisywanych przez sędziów (ma ku temu swoje powody), wydzwaniał do gminy i stara się na własną rękę ustalić stan faktyczny. Okazuje się, że w tym przypadku wszystko jest świętą prawdą. Z drugiej jednak strony: czy można zawiesić wykonanie kary człowiekowi, który przecież nie po raz pierwszy, po wypiciu kilku bełtów, dostaje małego rozumu i wymachuje nokoło siebie sztachtą niczym pałaszem?

Prokurator opowiadał mi, jak podczas wielkiej afery gospodarczej (zważywszy wartość zagarniętego w niej mienia dziś byłaby w ogóle niegodna uwagi), po ogłoszeniu wyroków skazujących oskarżonych na długoletnie pozbawienie wolności oraz liczne kary dodatkowe, wśród zgromadzonych na stali rodzin rozległy się okrzyki oburzenia, a jedna z żon nawet zemdłała.

— Z tym — dodał prokurator — że ona zemdłała nie w momencie, kiedy dowiedziała się, iż jej mąż dostał piętnaście lat, lecz gdy usłyszała o stu pięćdziesięciu tysiącach grzywny i całkowitej konfiskacie mienia.

Pod salą 232 atmosfera czysto rodzinna. Kwalifikacja prawna sprawy

uwidocznionej na wokandzie: zabór mienia społecznego i prywatnego. Włamania (przeważnie do samochodów), złe zabezpieczonych magazynów, w kilku przypadkach — także mieszkań. Oskarżonych jest pięciu — w wieku 18—19 lat; przeważnie uczniowie szkół zawodowych. Razem z nimi mają odpowiadać dwaj paserzy. Wartość skradzionych przedmiotów — znaczna. Uzbierało się przez tych parę lat.

Jeszcze ich nie doprowadzono. Matki, ojcowie, siostry, narzeczone — wszyscy z napięciem czekają na ten moment. Kiedy wreszcie w prześwicie korytarza pojawia się konwój prowadzący chłopców, rzucają się w tamtą stronę. Usiłują wepchnąć im paczki, uściśnąć ręce, zamienić chociaż parę słów. Milicjanci zdecydowanymi ruchami torują sobie drogę. Nie pozwalają przyjmować paczek, polecają je oddać dowódcy konwoju. Przez cały czas trwają gorączkowe przekrzykiwania. Jeden z funkcjonariuszy zwalnia i pozwala ciemnowłosej dziewczynie pocałować się z chłopakiem, którego eskortuje. Potem przepuszczają rozkładając ręce i wskazując wzrokiem drzwi sali.

Oto kolejne arcyciekawe zjawisko, które można zaobserwować po paru latach nieprzerwanego bywania w sądzie: trudna do sprezywania, ale przecież bardzo wyraźna więź psychiczna, łącząca konwojowanych z tymi, którzy ich pilnują. Nie chodzi tutaj, broń Boże, o jakiś przejaw akceptacji postawy aresztowanych ze strony strażników, a raczej o pewien rodzaj wyrozumiałości; coś, co nazwałbym uformowaniem się psychologicznej płaszczyzny wzajemnego obcowania konwojenta i więźnia. Można to dostrzec zwłaszcza w przypadku dłuższych procesów, kiedy strażnicy i oskarżeni są sobie przypisani przez kilka tygodni, albo i miesięcy. Początkowy rygorystyczny zachowań z czasem ustępuje tolerancji i pobłażliwości, mieszczącej się może nawet w granicach przepisów, ale przecież nie zwyczajnej.

W bufecie sądowym usiłuję zagodnąć na ten temat jednego z funkcjonariuszy, o którym wiem, że jest dowódcą konwoju. Zgadza się na rozmowę pod warunkiem, że nie podam jego nazwiska.

— Widzi pan — tłumaczy — to jest diablo niewdzięczna robota. Ciągłe pozostajemy pod ciśnieniem. Z jednej strony nie dają nam spokoju rodziny, z drugiej — mają do nas pretensje sąd i prokurator. Raz kolega się wygłupił i poskarżył sędziemu, że adwokat podał oskarżonemu kartkę. Nie wiedział, że ma do tego prawo. Najadł się chłopak straszniego wstydu, bo go sąd przy ludziach obsztorował. Więc gdy z oskarżonym w czasie przerwy zaczął rozmawiać redaktor, konwojent nie przeszkadzał. Myślał, że jak wolno obrońcy, to dziennikarzowi — pewnie też. Skutek był taki, że go opieprzyli po raz drugi.

Najbardziej nie lubię konwojować cwaniaczków, takich od gwałtów, żyłek i rozbójów. Często mnie ręka świerzb, gdy widzę, jak się zachowują. W sumie dziwię się sądowni, że na to pozwala. Zabawni bywają natomiast faceci z dużych afer. Na przykład z rozprawy miesięj albo, jak mieliśmy ostatnio, z pegeerowskiej. Obiecują forsy i inne rzeczy, jeśli tylko pozwoli im się pogadać na boku z rodziną. Z kolei ci, którzy kradli mniej, najwięcej płaczą: głównie magazynierzy i księgowi. Są to z reguły ludzie po pięćdziesiątce, mający dobrą pracę i dużą rodzinę. Oni nie mogą jeszcze ogarnąć wyobraźnią tego, co się stało, a perspektywa paru lat więzienia przeraża ich. Mieliśmy jeden taki przypadek, że gość dostał ze strachu przed wyrokiem ataku serca i trzeba było na salę wzywać lekarza. Czy ja się z konwojentami koleguję? Nie, absolutnie. To by było wbrew regulaminowi. Ale niektórzy mi żal, nie powiem. A do innych człowiek się normalnie przyzwyczaja. Z tym, że jak pytam dlaczego kradli, nie potrafią przeważnie odpowiedzieć, albo, co gorsze, zasuwają jakieś dyrdymały. Ja myślę, że oni nie mają po prostu do nas zaufania. Ogólnie rzecz biorąc, być konwojentem, to żadna przyjemność, niech mi pan wierzy. (C.d.n.)

Fot. CAF

Andrzejewski contra Zagórski

W 23 numerze naszego tygodnika ukazał się artykuł D. i A. Wróńskich „Takim go pamiętają” poświęcony Czesławowi Miłoszowi. Autorzy wykorzystali w nim wspomnienia przyjaciół Miłosza, w tym wypowiedź poety Jerzego Zagórskiego:

„Miłosz doszedł za falą emigracji do Bukaresztu. Stamtąd przez Związek Radziecki wrócił na Litwę do majątku matki na Kowieńszczyźnie, a stamtąd (przecież było to jak przez miedzę) do Wilna. Wkrótce potem do miasta weszli bolszewicy. W tym czasie nawiązał Miłosz współpracę z kabaretem „Ksantypa” i wtedy to — chyba zaproponował lub też może przystał na koncepcję utworzenia teatru eksperymentalnego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności — dysponentką kultury w mieście była od niedawna jego koleżanka uniwersytecka. Poszli więc do niej licząc na poparcie. «A czy wy nie jesteście czasami dekadenci?» — zapytała. Tamci odeszli z nosem na kwintę, a Miłoszowi wystarczyło to, żeby już o świecie czmychnąć z Wilna przez zieloną granicę do Guberni. Zameldował się w Warszawie. Oslonę dawał mu jego paszport litewski. Ja i Andrzejewski strzeżliśmy się inaczej. Umieściliśmy się na końcu Bielan, na samej granicy miasta, niedaleko lotniska niemieckiego. Znając awersję lotników do gestapo mieliśmy prawo przypuszczać, że ci ostatni nie będą nas zbyt niepokoić.

Miłosz był zawsze dla mnie zagadką. To jego, sprzeczne z archetypem warszawskich powstańców, awanturników, przekonanie o wartości własnej głowy, a więc i konieczności wyniesienia jej z opresji. Chyba jest w nim coś białorusko-litewskiego; coś z kompleksu narodu, który boi się, że w pewnym momencie straci kontakt z wielkimi narodami. Być może ta sama ostrożność dyktowała mu również posługiwanie się paszportem litewskim, by móc w swoim mieszkaniu urządzić małą, nielegalną redakcję, w której składałono, odbite na powielaczu tomiki poetyckie. Dzięki temu przecież mógł się ukazać, chociaż pod pseudonimem Jana Syrucia, jego nowy zbiór wierszy [...].

Z faktami tymi nie zgadza się Jerzy Andrzejewski („Literatura” nr 23).

„1) Miłosz nie musiał o «świecie czmychnąć z Wilna», ponieważ chciał powrócić do Warszawy, przede wszystkim dlatego, aby połączyć się z najbliższą mu na świecie, Janką Cękalską, później jego żoną.

2) Żadnej «osłony» nie dawał mu «paszport litewski», ponieważ nigdy podobnego dokumentu nie posiadał. Miał jedynie coś w rodzaju zaświadczenia wydane przez ówczesne władze litewskie stwierdzające litewskie obywatelstwo i poświadczone przez już nieważną pieczęć już nie istniejącego konsulatu litewskiego w Berlinie. Tego rodzaju papierek mógł w najlepszym przypadku w zamęcie ulicznych łapanek, zmylić czujność tego, czy innego hitlerowskiego łapacza. Ze Miłosz podobny świstek posiadał — wiedzieli ode mnie ludzie, którzy z ramienia Delegatury Rządu Londyńskiego, zajmowali się sprawami literatury oraz personaliami pisarzy, to znaczy ich warunkami materialnymi i postawą, powiedzmy — moralną. Zнали również faktyczny stan rzeczy działacza lewicowej organizacji podziemnej „Wolność”, do której — bodaj w roku 1941, a może następnym wstąpił Miłosz, wspólnie składając odpowiednie przyrzeczenie na ręce brata Jerzego Zagórskiego, Wacława, zresztą mego szkolnego kolegi.

W głowie mi się nie mieści, iż człowiek tak oblatany w regulach nielegalnych i niebezpiecznych gier okupacyjnych jak Jerzy Zagórski, może snuć po latach domysły, iż ów wyplotkowany i wydumany «paszport litewski» mógł chronić w razie ewentualnego «nakrycia» owej «nielegalnej redakcji». Zresztą pracowite przygotowywanie jesienią roku 1940 tomu wierszy Jana Syrucia (któ w owych czasach podpisywał się własnym nazwiskiem?) odbywało się nie w mieszkaniu Miłosza, lecz u Janki Cękalskiej, w domu na Dynasach, powielone arkusze dostarczyć nam był Antoni Bohdziewicz, całą resztą zajmowali się we trójkę: Janka, Czesław i ja, opisałem to dokładniej w II

wydaniu „Książki dla Marcina” z roku 1957. O ile mi wiadomo żaden inny tomik z pokoju na Dynasach nie wyszedł.

3) Przekro mi, lecz muszę sprostować supozycję Jerzego Zagórskiego, dlaczego „umieściliśmy się na końcu Bielan”. My? Począwszy od początku października 1939 mieszkaliśmy kolejno w trzech różnych mieszkaniach zanim, zresztą dzięki pomocy Maryny i Jerzego Zagórskich, przenieśliśmy się z żoną z Nowiniarskiej na Bielan wczesnym przedwiośniem roku 1943.

I tyle byłoby tego, bo już nie potrafię ustalić kiedy, w jakich okolicznościach i dlaczego wykuło się w swoim czasie, a i teraz tu i tam krążące bałamuctwo o „litewskim paszporcie” Czesława Miłosza. Mogę się tylko domyśleć, iż tę «świnie» zaczęto na szerszą skalę podrzucać Miłoszowi, gdy według jego własnego określenia wybrał «drugą emigrację», choć, jeśli mam być szczerzy, a czemu miałbym nim nie być? — wcale mi się to nazewnictwo nie podoba. Lecz, ostatecznie, dopóki człowiek żyje — posiada pełne prawo, aby wedle osobistych ocen dokonywać periodyzacji własnego życia.

A już tylko w sensie wyjaśnienia należącego się tym wszystkim liczącym, którzy z racji dat swoich urodzin nie mogą znać wielu szczegółów ściśle związanych z latami hitlerowskiej okupacji. Otóż wszystkich Polaków obowiązywały wówczas rozliczne rygory moralne, zarówno przekazywane w tajnej prasie, jak i te, które kształtowała opinia publiczna. [...] Posługiwanie się obcym paszportem mogło wchodzić w rachubę tylko wówczas, gdy miało służyć racjom przewyższającym zakres bezpieczeństwa wyłącznie osobistego. Czesław Miłosz zameldowany w Warszawie na podstawie paszportu litewskiego i Miłosz noszący przy sobie na wszelki wypadek «lipne» zaświadczenie litewskiego obywatelstwa, to z punktu obowiązującej podówczas moralności — dwóch całkiem różnych Miłoszów. Dlatego świadczę na korzyść tego drugiego Miłosza, bo taka jest prawda i o nim, i jego etyce w latach okupacji. Dawał zresztą świadectwo owej etyce i w wielu innych okolicznościach”.

Na replikę Jerzego Zagórskiego nie trzeba było długo czekać, znajdujemy ją w numerze 30 „Literatury”.

„1) Przeczności nie uważam za przywarę, lecz uważam za zaletę.

2) Sprawy paszportowe i meldunkowe nie wchodziły w zakres moralności, lecz porządku.

3) Trudno mi zgodzić się ze stanowiskiem, że moralność jest pojęciem aż tak płynnym, że coś może wyglądać inaczej z punktu obowiązującej podówczas moralności jak się wyraził Andrzejewski, zaś inaczej z punktu widzenia moralności obowiązującej kiedy indziej. Odruchy moralne są zakodowane w odczuciach ludzkich bardziej stabilnie niż przepisy. Przystosowalność odruchów moralnych do okoliczności to nałot dialektyki sofistycznej.

Tak zastrzegłszy się mogę przystąpić do wyjaśnienia należącego się Andrzejewskiemu. W swojej sprawie wywolił on z mojej wypowiedzi dla „Kontaktów” zdanie: [...] Ja i Andrzejewski strzeżliśmy się inaczej. Umieściliśmy się na końcu Bielan, na samej granicy miasta: niedaleko lotniska niemieckiego. Znając awersję lotników do gestapo, mieliśmy prawo przypuszczać, że ci ostatni nie będą nas zbyt niepokoić [...].

Rzeczywiście niepotrzebnie się wyrażałem w liczbie mnogiej. Prościej mi było i stosowniej powiedzieć nie „my”, lecz „ja”. Znany z odwagi, jeden z najbardziej wówczas nieustraszonych kolegów, mógł nie brać pod uwagę bezpieczeństwa, mógł mu raczej wystarczać motyw wygody. Czynniki przeczności biorę więc całkowicie na siebie [...].

To uściśliwszy, pozwolę natomiast sobie tym razem pominąć to, co Andrzejewski napisał o innej osobie, i to w tonacji niepowołanie mentorskiej w stosunku do mnie. Czynie to tym skwapliwiej, że w ostatnim akapicie swego zapisu z 19 VI wieczorem sam Andrzejewski misternym skądinąd sofizmatem zaprzecza swoim poprzednim wywodom o «pomówieniu», «wściebskiej plotce», «małoduszny błąd» i «bałamuctwie» [...].



kontakty kontaktów

Szanowna Redakcjo, piszę do Was, ponieważ wierzę że udzielicie mi pomocy, bo wiem że Redakcja zawsze pomaga tym, którzy są krzywdzeni. W czerwcu oddałem do punktu skupu 516 litrów mleka, za które otrzymałem 5400 zł. Okazało się, że przyznano mi pieniądze nie za te litry, które były wpisane w moją kartę dostawy, tylko za 380 litrów, którą to ilość podał pracownik skupu. A gdzie są pozostałe?

Proszę Was o interwencję, ażeby pracownik skupu nie miał tak wszechstronnej władzy.

JAN DĄBROWSKI
zam. Bartki 18,
18-424 Burzyn

Wiem, że Redakcja raczej niechętnie zamieszcza na łamach pisma podziękowania dla, na przykład, pracowników medycznych tłumacząc to tym, że opieka nad chorym jest przecież ich obowiązkiem, więc za co tu dziękować? Jednakże są sytuacje szczególne, kiedy jest to jedyny sposób, aby dać wyraz wdzięczności za coś, co wykracza poza ich normalne obowiązki. O tym mogę powiedzieć, ponieważ korzystałam z bardzo wielu placówek służby zdrowia i wiem, jak wielu lekarzy nigdy tej niepisanej granicy humanitaryzmu nie przekracza. Dlatego byłabym niezmiernie wdzięczna za zamieszczenie serdecznych słów podziękowań zespołowi lekarskiemu i pielęgniarcom Pogotowia w Łomży za ratowanie życia i troskliwą opiekę nad moim mężem, a także tym, którzy — bez przesady i apeli — zgłosili się by oddać na ten cel krew.

JANINA SKOWRON
Łomża

W związku z notatką w Tygodniku „Kontakty” w sprawie Baru Mlecznego (12.07.1981 r.) Dyrekcja „Społem” WSS O/Łomża zwraca się z prośbą o wyjaśnienie na jakiej podstawie, zostało stwierdzone, że mleko serwowane w barze jest wodniste? Uważamy, że takie stwierdzenie może być podjęte tylko na podstawie badań laboratoryjnych, czy takie było dokonane? Określenie mleka przez konsumenta nie może być miarodajne.

Wobec powyższego prosimy na przyszłość o drukowanie opinii wcześniejszych sprawdzonych.

Wyjaśniam również, że kierownik Baru Mlecznego nie otrzymywał reklamacji od konsumentów w danym dniu.

Kierownik Baru Mlecznego
GENOWEFA CZEREPSKA

Przyznajemy się, że korzystamy z posiłków w barach mlecznych, spożywamy obiady w restauracjach, pijemy alkohol w lokalach — bez podręcznej aparatury laboratoryjnej. Nie mieliśmy jednak nigdy trudności ze stwierdzeniem, że mleko jest tylko zabarwioną na biało wodą, kotlet mielony — z papieru toaletowego, a alkohol jest ponad miarę chrzczoney, wystarczał bunt własnego żołądka. W barach i restauracjach obowiązują przepisy umożliwiające klientom zwrot zamówionego dania, jeżeli nie nadaje się ono do spożycia. Wszystko jest więc pozornie w porządku: nie chcesz — nie jedz. Nie spotkaliśmy się natomiast z przypadkiem, by personel odsyłał klientów z zakwestionowanymi daniami do laboratorium lub też sam, zapakowawszy je w opieczkowane pojemniki, pędził tam własnonożnie. Co więc jest w stanie obronić konsumenta — zarządzenie o przymusie zjedzenia zakwestionowanego przez klienta dania przez tego, który je upitrasil.

(ajs)

★

Kiedy ukazał się numer „Kontaktów” publikujący mój list, mieszkałam już w mieszkaniu przydzielonym mi przez Urząd Miasta. Za pośrednictwem Waszej redakcji chciałabym podziękować pracownikom Urzędu za zrozumienie mojej sytuacji.

ELŻBIETA CWAŁIŃSKA
Łomża

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Kazimierz Busma, emerytowany kolejarz, w którym obudziły się nagle zapędy rolnicze, nie mógł dopuścić do takiego bezprawia. Był w Bydgoszczy, strajkował z rolnikami z innych części kraju, dołożył swoją cegiełkę do utworzenia chłopskiego związku zawodowego. Wie, jak można wygrać swoje sprawy; uporem i zawziętością, nawet gdyby krzyczał cały świat, że to nie ma sensu.

— On wszystko może tu wykreślić — gorączkuje się Witold Jurczykowski, naczelnik gminy. — W urzędzie leży ponad siedemset podań. Niech uda się do tych rolników, naskarży, że nie tak podzielili sprzęt, mogą tu przyjść i nagle ciche Szepletowo stanie się sławne w całym kraju. I to kiedy? W pierwszy dzień IX Nadzwyczajnego Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zbieraliśmy się w sprawie tego przydziału już dwa razy. W poniedziałek wpadł do urzędu, nakrzyczał, nagroził. Już szlag człowieka trafia. Dostać mam wszystkiego, łącznie z naczelnikowaniem. Ja nie chcę przez takiego obywatela dostać zawalu.

— Niech pan naczelnik się nie denerwuje — powiada spokojnie Jamiółkowski — Sądzę, że dzisiaj się dogadamy. Najważniejsze to nie denerwować się!

W sali konferencyjnej wszystkie okna pootwierane. Duszno. W powietrzu wisi burza. Wchodzą członkowie komisji rolnej z NSZZ RI „Solidarność”, radni Gminnej Rady Narodowej, pracownicy administracji z tekami podań. Naczelnik przedstawia przyczynę konfliktu: — 29 czerwca dokonaliśmy podziału sprzętu wspólnie z komisją rolną „Solidarność”, jako że Gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych w naszej gminie nie istnieje. Wprowadziliśmy listę uszczęśliwionych ustaliliśmy, jednak (choć w czasie spotkania nie było większych uwag) nie wszyscy na nią wyrazili zgodę. Komisja zaleciła, by listy tej nie wywieszać do publicznej wiadomości, ja zamieszczałem ją na tablicy ogłoszeń, a Kazimierz Busma powiedział wówczas: „Nie każdy z rolników obecnych na tej liście powinien otrzymać sprzęt”. Zażądał zmian, nie podając żadnych propozycji, a w przypadku sprzeciwu zagroził strajkiem. Jak ja mogłem zmienić komisję? — Spotkaliśmy się w tym samym składzie ponownie 7 lipca, lecz także bez skutku.

Sala milknie, kiedy w drzwiach staje Busma. Jedna z kobiet pyta półgłosem: — Czego on tu chce, przecież nie należy do komisji?

— Widać go przyjęli, jeśli tu wszedł — odpowiada siedząca obok niej.

Busma bez słowa zanurza się w podania-skargi, które sam przyjął od niektórych rolników. Narzuca przebieg rozmów: — Jeśli mamy dokonać ponownego rozpatrzenia przydziału sprzętu, niechże to odbywa się w obecności zainteresowanych rolników.

Naczelnik protestuje. Stwierdza, że kryteria były ustalone i nacalna obserwacja kilkudziesięciu chłopów niczego nie zmienia.

Busma obstaje przy swoim: — Jeśli tak, to nie ma sensu, byśmy tu obradowali. Robimy strajk.

Stanowcze słowa i nagły zwrot w kierunku drzwi robią wrażenie; obie komisje ustalają, że należy tylko rozpatrzyć podania rolników, którzy złożyli skargi, i ewentualnie dokonać korekty. Busma, choć z niechęcią, wyraża zgodę. Stanisław Wyszynski z Warel, wie, że sprzętu niewiele, i nawet jego najdoskonalszy podział uszczęśliwi tylko garstkę, która szybko zgine w setkach oczekujących. Krzysztof Jankowski, młody rolnik, przewodniczący „Solidarności” komisji, też jest za tym, by brać pod uwagę tylko skargujących się Busma, redys nie redys, wyciąga protokół i poprzęda go komentarzem: — 30 rolników wniosło na piśmie zastrzeżenia. Powinniśmy je odczytać i poprosić ich o zdanie.

Wiele głosów jest za tym, by zainteresowanych prosić pojedynczo, bo gdy wejdą wszyscy, to „może wytworzyć się zamieszanie, trudne w skutkach do przewidzenia”. Naczelnik powiada nagle dobitnym głosem: — A po co prosić tu rolników. I tak wiadomo, że zbieramy się przeciw w ich interesie.

Busma twierdzi, że należy przede wszystkim zatroszczyć się o średnich i małych rolników oraz tych, których dotknęły ostatnio ciężkie przypadki losowe.



Członkowie komisji, chłopcy z gospodarstwami liczącymi 30 i więcej hektarów, wyrażają sprzeciw: — My stanowimy o poziomie produkcji rolnej w gminie i nam się należy w pierwszej kolejności. Busma tu może siedzieć i cały tydzień, jeździć po wsiach obiecywać ludziom, studiować ich podania. Ma ponad cztery hektary, w tym własnej ziemi ponad półtora, ciągnik i inne maszyny. Nas na taką stratę czasu nie stać.

Przed drzwiami gabinetu naczelnika kolejka jak po mięso. — Jak tam moja sprawa? — pytają jeden przez drugiego Stanisławowi Perkowskiemu z Dąbrowy Moczydel czy krwią nabiegły jak królikowi rasy angora. Naciśnął na głowę letni kapelusz, oparł się o ścianę i powiada do stojących z nim: — Niech czekam tu całe lato, nie ruszę się stąd! Dwoje starszków, troje małych dzieci, żona ciężko chora. Bez maszyn tylko postronki wziąć i powiesić się. Ciulałem przez kilka lat na ciągnik. Nie otrzymam teraz, później ceny skoczą i znowu szansa ucieknie mi sprzed nosa.

Na decyzję nowego podziału sprzętu oczekują też Julian Szepletowski z tej samej wsi, Jan Jankowski z Bybytek. Młody rolnik, Antoni Dmochowski z Wilków, wyciąga z kieszeni plik drobnych papierków z podpisem naczelnika, że podanie zostanie rozpatrzone w późniejszym terminie. Identyczny format, identyczna treść, tylko różne lata. Powiada z rozżaleniem: — Tak gmina spieszy mi z pomocą już siedem lat.

Za drzwiami Busma odczytuje protokół-protest z 6 lipca br. Nie ma w nim nic szczególnego poza tym, że trzydziestu rolników oczekuje na przyjazd wojewody i komisję rozpatrzenia przydziału. Jamiółkowski wyraża zniecierpliwienie, bo sprawy posuwają się niezmiennie powoli. Naczelnik wstrzymuje się od decyzji i twierdzi: — Jeśli zmian żąda „Solidarność”, to niech ona odbierze ciągnik jednemu rolnikowi i przyzna go drugiemu.

Busma woła z przekonaniem: — To do nas nie należy. Mamy tylko kontrolować, by była sprawiedliwość! — I, niby tylko dla przykładu, foruje Stanisława Perkowskiego: — Człowiek ma rzeczywiście ciężką sytuację. Należy mu się w pierwszej kolejności. — Perkowski, tak — wtraca ktoś drugi — bo chłop tragedii i ruiny bliski!

Naczelnik zgadza się, że Perkowskiemu ciągnik jest potrzebny, ale komu go teraz odebrać? Na sali cisza. „Solidarność” patrzy na naczelnika; naczelnik na „Solidarność”. Wreszcie nie wytrzymuje i mówi: — Powiedzieć, panowie, komu ten ciągnik odebrać, to go na wasz wniosek odbiorę.

Napięcie rozładowuje Marian Wyszynski, przewodniczący Zarządu Gminnego NSZZ RI „Solidarność”: — Tym, którzy mają już przyznane ciągniki, też one są bardzo potrzebne. Ale zważmy taką

STANISŁAW ZIELIŃSKI

władzy w kość

sprawę: w Dąbrowie młody rolnik, specjalista, Marek, brał sprzęt, ziemię, sąsiednich wsiach, spod nosa pozabierał? Bo go ZSMP się opiekować? Po co ludzi tak nie wiadomo, czy oni na tej „ojcowiznie” każdej strony. Co odbije i nie pospółskiego na czarna, teraz szansę nabra.

Szykuje się nowostawiciel ZSMP, przytacza wszystkich ZSMP ma patrolować, niewiele, ale są na poziomie. Marek, działacz i dobry, że on wsi, stkie kredyty, ja splanca z nawiazka.

Komisja przywołu. Ustala zgodnych ciągniki, podana. Podobnie jest. Mogą być pewne paczkach, snopów absolutnie nie mamy. — Ja się nie zgadzam — w członkowie komisji „akceptują” nika i komisji Grdowej. Zbulwersowani grzmiąc na cały, to ja tu zaraz za pogadamy z wami.

— Zatrzymać go, dają pojedynczo.

— Ale gdzie są inni. Jeśli się wtedy narobi nar.

Znowu debaty „Solidarność” w sytuacji, bowiem nie akceptują głosów swojej komisji, że została przez radnych i samym zapomnieli. Naczelnik p Busma ogłasza strajk: — Trzymać ustąpić. Nie dali mi przeci.

Zebranych przydu i na korytarzu ciągną na rekawpaski. Członkowie komisji ode ze strajkujących pająd chleba i rozkłada wikt stracyjnie dzieli cych, po czym wżony. — Przynieś z butelką piwa.

Ktoś inny doda. Szkoda, że nie st niedziałek. Mielu transporter spec. Marian Gierak, Maćkowiak, zapil, trudem trzyma

spiećcia



Obraz jednego z łomżyńskich artystów Wojewódzki Dom Kultury w Łomży — po długim eksponowaniu go we własnej siedzibie — w końcu zdjął, odfotował i przysypał kupą węgla. Została nam wątpliwość: czy był to węgiel kamienny, czy kamień węgielny pod nową formę mecenatu?

Drogi Łomżyński Prezydencie!, który obiecałeś zelektryfikować domki jednorodzinne na Osiedlu Młodych. Przez brak napięcia w drutach 100 rodzin nie może wprowadzić się do własnych domów, a 100 mieszkań po nich — zwolnić dla innych. Termin minął 30 kwietnia (patrz „Kontakty” nr 16), a Pan słowa nie dotrzymał. Czyżby uważał Pan, że jest to lepszy sposób na wytwarzanie napięcia?

Studencka Akcja Naukowa przynosi już pierwsze efekty. W czasie koncertu zespołu „Perfect” wygospodarowano kilkanaście metrów kwadratowych wolnej przestrzeni. Jak? Rozpalona do białości publiczność zdemolowała w rekordowym tempie 37 krzeseł.

Eugeniusz Gosek — z Taraskowa gm. Wizna ostatni raz kładł obornik na swoją dziesięciohektarową schedę w... 1939 roku. W tym czasie ziemia wyjąłowała, ale podatek gruntowy gospodarz spłaca regularnie, tyle że nie pieniędzmi uzyskanymi z roli, a z handlu butelkami. I tak, popierający tego typu inicjatywy naczelnik może radośnie wpisać w sprawozdaniu jeszcze jedną rubrykę: ilość szkła z hektara.

Na ogół w „Spiećciach” ogłoszeń nie zamieszczamy. Chyba że takie: „Mam do upłynięcia ponad 60 ton wapna, które zalega moje pole od kilku lat. Nadmieniam, że wapno nie jest moje, a właściciela nie znam. Józef Wysocki, Mały Płock.”

Waleria Piotrowska z Wizny, by kupić węgiel wysłała syna w kolejkę już z wczoraj. Na podmiekanie poszła o drugiej nad ranem, a o świcie obliczyła, że jest w kolejce trzy-nasta (nomen omen?). Rządząca opalem Jadwiga Domalewska rozdysonowała jednak go znajomkom tak, że kolejke dostało się tylko 12 kwitów. Na błagalne prośby amatorki węgla pani Jadwiga ponoć pokazała jej tylko własny tyłek. My w to nie wierzymy, ale niewykluczone, że była to po prostu lapidarna instrukcja, gdzie należy napalić najpierw.

Przysiężnik oddolny i odgórny urządził mieszkańcom budynku przy ulicy Miastkowej 3 w Nowogrodzie pracowite mrówki-członkowie brygady remontowej z łomżyńskiego ADM. Najpierw ściągnęły z dachu ocieplenie nie kładąc nic zastępczego — by zmyć ludziskom głowy, a później umożliwiły umycie nóg w wypływających z domu fekaljach.

Jedynym, przystępnym dla wszystkich, a osiągalnym bez recepty środkiem przeciwbólowym, który serwują łomżyńskie apteki są... mocno zaciśnięte zęby.

Jedną z organizacji młodzieżowych nosi się z zamiarem sanitarnego przeszkolenia swoich członków, aby mogli udzielać pierwszej pomocy osobom poszkodowanym w kolejkach. Wielce to humanitarne przedsięwzięcie, alifiej mało konsekwentne. Aby uratować klient nie umarł z głodu, potrzebni są specjalnie przeszkoleni ludzie do skutecznego zastąpienia go w kolejce.

W sumie protokół porozumiewawczy, podpisany o pierwszej w nocy, nie przynosi zwycięstwa żadnej ze stron. Wprawdzie Busma stawia na swoim, dyktuje warunki naczelnikowi i Jamiółkowskiemu, lecz jednocześnie podkopuje i swój autorytet. Bo oto nadciągają żniwa, a przydział sprzętu, również snopowiązałek, odkłada się na dalsze dwa, trzy tygodnie. Może to u chłopów wywołać niezadowolenie, bo przecież wiadomo, w jakie cenie jest każda maszyna.

Zaraz po podpisaniu protokołu przyjeżdża do gminy przewodniczący komisji rolnej NSZZ RI „Solidarność”, Krzysztof Jankowski. Jest przynębiony takim obrotem sprawy. Przedstawiciel władz wojewódzkich i naczelnik zignorowali podpisanie z nim porozumienie. Uhonorowali pana Busmę i trzynastu rolników, przerażeni perspektywą strajku. Próbuje im to Jankowski wyjaśnić, lecz i jeden, i drugi myślą już tylko o powrocie do domu. Tymczasem Busma przystępuje do nowej sprawy. Swojej.

— Panie naczelniku, to jak tam będzie z moją łaką. Sprzeda mi ją pan czy nie?

Do dziś można w Szepietowie usłyszeć na temat tego nietypowego strajku różne opinie. Nie brakuje wśród nich i takich: Gdyby Busmie nie chodziło o tę łakę, to on by tak nie wstawiał się za innymi. Chce pokazać, że jeśli gmina nie załatwi mu jego sprawę, on potrafi zatrzęść całą „Solidarnością” i wtedy podyktuje wszystkie warunki.

— Mnie to dziwi — powiedział mi jeden z rozmówców — że jeszcze na nim nikt się nie poznał. Przecież też jestem w „Solidarność”, a nadal nie wiem, jak człowiek, który w wyborach dostaje 6 głosów na 76 wybierających, może zostać wiceprzewodniczącym. Przecież to jest jawne pogwałcenie zasad demokratycznych i najświętszych idei naszego związku. Niech pan zwróci uwagę, jak on się wyraża: „Ja się nie zgadzam”, „Ja zorganizuję strajk”, „Ja ten ciągnik panu załatwię”. Przecież to car i boh, i jak go pogodzić z „Solidarnością”?

Inny, przypadkowo spotkany, mieszkaniec skomentował strajk następująco: — Nie powiem, o sprawy tych średnich walczył słusznie, bo gmina nie zawsze bierze ich w obronę. Głną podania jednych, drudzy czekają na sprzęt po śledem i więcej lat, a inni otrzymują go po roku czy nawet po kilku miesiącach. A strajk to ogromna rzecz i musi być rozsądnie przygotowana. Wywiesili flagę na budynku, a ludzie, którzy tamte dy przejeżdżali, myśleli, że ona tam wisi z okazji Zjazdu, zaś opaski na rękach nosi warta zjazdu. Wreszcie to zachowanie Busmy przypomina sytuację z murarskiej anegdoty: „Franek, ty trzymaj ścianę, ja polecę po premię”. Taka działalność może być i ktoś inny premiował, ale chyba nie „Solidarność”.

Fot. GABOR LÖRINCZY

kazać: komisyjnie czy na słowo? Najchętniej umieszciliby ich w jakimś zastępczym, lecz pewnie na takie rozwiązanie się nie zgodzą. Porozmawialiby ze strajkującymi, ale przecież mogą popełnić nieprawość, bo ci nie wyłonili jeszcze spośród siebie przedstawicieli do rokowań. Naczelnik przypomina, jak odbywały się pertraktacje w Gdańsku; Jamiółkowski — jak w Jastrzębiu i Szczecinie. Obaj dochodzą do wspólnego zdania: — Nie ma co się spieszyć. Wyłonią spośród siebie komitet strajkowy, będziemy rozmawiać.

Podchodzę do rolników. — Wiemy, że sprzętu jest mało — mówią — ale niechże on będzie w ludzki sposób dzielony. Wojewoda popiera najbogatych, naczelnik popiera najbogatych, bo powiadają, że ci trzymają produkcję rolną w gminie. Decydują o naszych sprawach za naszymi plecami. Czyż nie mogli nas poprosić do środka i przynajmniej wyjaśnić, kiedy mamy szansę ten sprzęt otrzymać? Na samochody, na meble, wprowadza się przedpłaty. Czemu nie ma ich na maszyny rolnicze? Przecież tak samo są drogie i wymagają ciułania grosza przez kilka lat?!

Po pewnym czasie podchodzi do nich (ostrożnie, jak do jeża) Jamiółkowski, a na końcu — naczelnik. Próbuja tłumaczyć się z zarzutów, obłaskawiać obietnicami szczególnego potraktowania w przyszłym kwartale.

Komisja „Solidarność” wręcza protokół mówiący o odcieciu się większości jej członków od proklamowanego strajku. Sala konferencyjna ponownie zapelnia się ludźmi. O szyby uderza coraz większy deszcz, a pierwszy z piorunów gasi światło. Robi się mroczno. Przez okienne ramy wdziera się woda. Widać, że budynek stawiany był w pogodę. Członek ZSMP zamyka okna. Ktoś z pracowników przynosi wiadra. Nagle ktoś wpada na salę z wiadomością, że chyba palą się Warele. Część członków „Solidarność”, a także radnych, prosi o zwolnienie — motywując je wyjazdem do pożaru. Rozgardiasz coraz większy. Właściwie gdyby nie upór Busmy i Mariana Wyszyńskiego, porozumienie byłoby już osiągnięte.

Jednak przewodniczący NSZZ RI nie ustępuje. Władze gminne i Jamiółkowski podejmują rozmowy, ucinając tym samym uzgodnione stanowisko z komisją rolną „Solidarność”. Wspólnie z Busmą niszczą jedną wersję protokołu, w kilku egzemplarzach piszą drugą, pod którą podpisują się wszyscy obecni. W sumie szesnaście osób; w tym trzynastu rolników. Dokument stwierdza, że dzisiejszy podział sprzętu (już trzeci z kolei) każdy trwał prawie 3 godzin) uznaje się za projekt, który naczelnik wywiesi na tablicy ogłoszeń 15 lipca. Obaj przewodniczący zobowiązują się do przeprowadzenia ponownych wyborów do Zarządu Gminnego NSZZ RI „Solidarność” i wyłonienia nowej komisji do opiniowania przydziału sprzętu.



mówi całkiem trzeźwo. Pamięta, w jakiej sprawie tu przyszedł. Niektórzy próbują go usprawiedliwić: — Na takie gorąco nie musiał dużo wypić. Pięćdziesiątka na pusty żołądek wystarczy.

Mieczysław Tylanda założył opaskę, bo chce snopowiązałkę. Antek Dmochowski zamierza w ten sposób wywalczyć ciągnik. Tadeusz Busma z Bryk, krewny Kazimierza Busmy, też ubiega się o ciągnik. Rozsiedli się na krzesłach i niemal chórem wypowiadają swoją prywatną jedność: — Nie ruszmy się stąd!

Na chwilę opuszczam budynek Urzędu Gminy. Nad głową rozciągają się pierwsze błyskawice. W sąsiednim, parterowym domku obraduje komisja rolna NSZZ RI „Solidarność”. Pociągam za klamkę, lecz drzwi są zamknięte. Ktoś wygląda przez okno i zostaje wpuszczony do środka. Trwa spór: czy strajk ma się odbyć, czy ma być odwołany. Obaj przewodniczący opowiadają się za. Wyszyński z Warel i pozostali — zdecydowanie przeciw. W trakcie wchodzi pijany Popławski i włącza się do dyskusji: — Nie macie nawet zielonego pojęcia, jak zorganizować strajk. Przyjdźcie do nas, do miejsckiej „Solidarność”, to my was nauczymy. Puknijta się w te głupie głowy. Kilku się was tu zebrało i chce strajk organizować. Ja pana znam, panie Busma. Większego cwaniaka nie znajdziesz w całej gminie. Mój szwagier jest milicjantem. Wiem, że brałeś za usługi swoim ciągnikiem wygórowane opłaty: tyśiąć, ponad tyśiąć za hektar. Mogłbym cię podać na kolegium. To hańba, żeby tacy ludzie byli w „Solidarność”.

Busma próbuje go wyciszyć, lecz nie wie, w jaki sposób. Z pomocą spieszy mu Marian Wyszyński, lecz nagle obrywa się i jemu: — Ciebie, ptaszku, też dobrze znam. Chcesz, to mogę wygrać o tobie wszystko.

Wyszyński z Warel słucha ze spokojem: — Niech mówi, bo choć pijany, to widać zna o was całą prawdę.

Zrywa się między obu Wyszyńskimi prawdziwa awantura. — Mam was dosyć, dosyć — woła ten z Warel — Wystąpię z tego zarządu, bo z takimi ludźmi trudno mieć cokolwiek wspólnego.

Jankowski proponuje, aby sprawę strajku przegłosować. Pięciu jest za odwołaniem. Busma zdecydowanie przeciwnie, zaś przewodniczący Zarządu Gminnego, Marian Wyszyński, wstrzymuje się od głosu. — O, ty chotero — wsiadają na niego przeciwnicy — to ty taki jesteś mądry? Akurat wtedy, kiedy trzeba podejmować decyzję, to ty, głowa naszego gminnego związku, wstrzymujesz się od głosu?! Ładnie nas kompromitujesz!

— Ale poczekajta, ja wam wszystko wyjaśnię — broni się Wyszyński.

— Siedź — wołają inni. — Takiej głupoty już nie da się wyjaśnić.

— Dobra, dobra, to ja też przyłączam się do pana Busmy. Jestem za strajkiem, jestem za strajkiem — powtarza w kółko.

— A strajkujta, dokąd wam się podobą — grzmi Wyszyński z Warel. — Tylko śmiech pójdzie po gminie. Pierwszy dzień Zjazdu. I tak jest dosyć ataków na „Solidarność”, a wy jeszcze pomagacie rozbić ten związek.

— Przekabacili was — jeży się Busma — ale przyjdziecie do nas jeszcze w łaskę. Nie tą drogą powinni iść „Solidarność”. Jesteśmy tu po to, żeby nie układać się z naczelnikiem i innymi urzędasami, bo w taki sposób nie nie wywalczymy. Trzeba dać władzy w kość, to jedyna rada.

Przykazuje Marianowi Wyszyńskiemu: — Ty podtrzymuj ludzi na duchu, a ja polecę na wieś po chłopów. Przyjdą tu wszyscy, bo mi obiecali.

Niektórzy zwracają mu uwagę, że jeżdżenie taryfą po wsiach gminy Szepietowo za związkowe pieniądze, to jawne nadużywanie kompetencji. Busma uśmiecha się ze spokojem i ma dla nich tylko jedną odpowiedź: — Mnie na to stać. Mój Związek jest bogaty. O ważniejsze tu sprawy idzie niż o pieniądze.

Jamiółkowski i naczelnik podejmują środki „najwyższej ostrożności”. Co pewien czas wysyłają meldunki do wojewody. Co robić? Jakże podjąć decyzję? Milicji ściągnąć chyba nie wypada, bo dopiero wtedy może się zaezać. I tak źle, i tak niedobrze. — Jak zechcą okupować budynek, to w jaki sposób go prze-



Muskający felietonik Alicji Średnickiej („Kontakty”, z 19 VII br.) przewierzył nieco Łomżę po poetyckiej „Wiosna” zwaną przez tejszych Łomżyńską Wiosną Poetycką, ale stanowczo za mało.

Główny pomysłodawca i pieniądze imprezy, literat Jan Kulka z Łomży nadał jej tytuł „Być poetą”. Tak ogólnikowe sformułowanie można konkretyzować różnorako. Był poety da się rozważać socjologicznie, historycznie, medycznie itd. Można dochodzić tego, czy poeta powinien mieć przychówek, czy w średnowieczu uważano go za idiotę czy za UFO; czy pisanie poezji, to nieświadomy wytwór cierpień hemoroidowych. Tylko po co zwoływać akurat w tym celu poetów, i to do Łomży, i koniecznie wiosną, jak gdyby inna pora roku zamulała intelekt. Czy poeta musi mieć świadomość takich problemów i znać ich rozwiązanie, aby tworzyć? Bynajmniej. Nasuwa mi się jeszcze jedno wytłumaczenie, przy którym hasło „być poetą” należy rozumieć: „co to znaczy być poetą?”, czyli: „jaka jest istota poezji?”. Tyle, że zwoływać sesję na tak rozumiany temat mógłby chyba ignorant, bowiem medytacja nad sensem poetyzowania trwa do chwili, gdy pitekanthrop beknął swój pierwszy zachwyt z racji zachodu słońca, a poetom brak odpowiedzi na ową kwestię zbytnio nie przeszkadza, zaś jeżeli już szukają rozwiązań, to każdy znajduje odmienne. Te rozstrząsania są jednak czystą gdybologią, biorącą się z poważnego traktowania sesyjnego zamysłu. Gdybologią, bowiem Jan Kulka tematu nie precyzował. Zamówił po prostu trzy przemówienia, zostawiając referentom wolną rękę w interpretacji tematu, a uczestników trzymał do końca w domysłach (gdyby przypadkowo myśleć chcieli).

Od miesięcy wszak chodziło nie o sesję, a o to, by zwać do Łomży Miłosza. (Stąd tak późny termin imprezy wbrew tytułowej „wiosnie”). Pracował nad tym Jan Kulka w zaciszu gabinetu wojewody Clapki, powiernika i współnika akcji. Obaj miłośnicy ustanowili wprawdzie Biuro Organizacyjne, ale tylko jako formalną przybudówkę dla własnych koncepcji uwielbienia Dostojnego Pióra. Poeta przygotował więc listy uczestników sesji — literatów dobrano pod gust Miłosza — a wojewoda podpisywał zaproszenia, akcentując przyjazd do Łomży Nobliwego Nobla. Wieść poszła po kraju i dobijać się o swoje zaczęli również nieproszeni. Andrzej Lam, nie literat, za to krytyk, doszedł swego przez KC PZPR. Krzysztof Gąsiorowski i Tadeusz Drewnowski innymi drogami, ale też ze skutkiem. Chociaż sesja była literacka, nie zabrakło przypadkowych ludzi, ot chociażby pewnego studenta próbującego pisać pracę magisterską o poecie z Berkeley. Biuro Organizacyjne w sprawie zaproszeń mogło

Miłoszowanie

(ciąg dalszy)

co najwyżej pytać: czy wysłać je w białych, czy w niebieskich kopertach. Raz tylko dano mu szansę zagrania roli poważnej. Nie wiadomo, od kogo zaproszenie dostał KOR-owiec, Adam Michnik, na co skwapliwie odpowiedział, że przybędzie i to z ochotą. Zrobił się popłoch, postanowiono gościa spławić, podpisując odmowny telegram: „Biuro Organizacyjne”. Tu jednak znalazła się przeznaczenie części tegoż biura, nie godząc się na takowe praktyki. Co było potem, nie wiem, dość, że Michnik siedział na imprezie w honorowym rzędzie gości. Była też druga lista: literackiej asysty Wielkiego Poety w Nowogrodzie. Ten własny twój łomżyński poeta i łomżyński wojewoda zatajali przed światem. Na telefony w tej sprawie Biuro Organizacyjne odpowiadało pingpongowo: „Bliższe informacje u pana Kulki”. Ową tajemniczy spis musiał prawdopodobnie podlegać wielu przekształceniom, chyba dość nieoczekiwanym nawet dla ich autorów, skoro krytyk Jan Błoński aluzyjnie wypominał Kulce, iż najpierw zaprosił go do Nowogrodu, a potem cofnął zdanie.

Tak, czy inaczej, 50 literackich wybrańców przybyło do Łomży. Dziwne, gdyby nie, skoro fundowano im obejrzenie Miłosza, darmowe noclegi w „Polonezie”, gratisowe posiłki, zwrot kosztów podróży w obie strony i większość... spotkania autorskie (800 zł do kieszeni), o których w ogóle mało kto wiedział, bo Wiosna Poetycka nie miała prawie żadnej reklamy. Jeden Jan Kaczmarek z Wrocławia przyjechał za swoje i pieniędzy za recital nie wziął. No, ale na to trzeba być Kaczmarem. Tak więc szły pieniądze na pobyt gości, noclegi, posiłki, urządzenie wystawy wydawnictw Miłosza, recitale aktorskie, wieczory literackie, honoraria za organizację dla Kulki.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień do wydobycia odoładkowych westchnień na widok Niezwykłego. Na długo przedtem wybuchł w mieście szal zaproszeniowy. Uruchomiono najdawniejsze, przodków sięgające znajomości, by ujrzeć Bóstwo. Kryterium przydziału zaproszeń — ta słodka tajemnica serca Jana Kulki — zgromadziła na inauguracyjnym spotkaniu w sali WDK okazałe grono w najlepszych kremplinach boćwinkowej tonacji, butach od Wasilewskiego i ozdóbkach a'la Paziowa, za to nie mających od czasu szkoły tomika poezji w ręku. Ściągnęli tłumnie, by ujrzeć Element Antysocjalistyczny (według hasła: „Miłosz” z Wielkiej Encyklopedii Powszechnej), a przy tym — nadzia-

nego forsa, egzotycznego Jankeso-Litwina (ciekawe, jaki ma samochód, a synowie — przystojni?). Ci bez zaproszeń szturmowali wejście groząc, prosząc i powołując się na miejscowe autorytety partyjne, kościelne, solidarnościowe; w słowach tym bardziej opryskliwych, im bardziej mówi się o nich w tzw. kręgach jako o ludziach kulturalnych (pan lekarz z dwoma córkami, a wstyd!).

Miłosz zachował się normalnie, jak przystało na człowieka zmęczonego podróżą, rzekł niezbędne zwroty grzecznościowe, a po kilkunastu minutach trwającego na jego część recitalu wymknął się do hotelu, a przy okazji małomiasteczkowym stereotypom zostawiając w osłupieniu zgromadzonych, a przy tym zacnych. Trudno się dziwić ich zgorszeniu, gdyż Kulka naspraszal ludzi obiecując im spotkanie z Miłoszem — Poetą, czego bynajmniej gość wcześniej nie potwierdził i taka reklama nie miała podstaw. Było natomiast tegoż dnia spotkanie z aktywem kulturalnym w „Bonarze”. Tyle, że niektórzy obecni na spotkaniu nie byli nawet pracownikami kultury (advokata Koziolowa, chociażby); część zaś przybyłych, zatrudniona w sektorze kultury z aktywnością niewiele ma wspólnego (wymieniać nie będę, bo za długa lista). W „Bonarze”, tak jak w WDK, brylował rozpromieniony Jan Kulka, wyręczając Wiekopomny Talent w prozaicznych koniecznościach jego obecności. Jakby sam Miłosz nie mógł tego zrobić, uprzedzał zebranych, by nie fotografować Oblicza, informował w nadmiarze o zmęczeniu Wnętrza, oznajmiał łaskawym tonem, że Jego Poetyckość zgodiła się odpowiedzieć na kilka pytań, ale kategorycznie przerwał ciąg tych pytań, by nie zmęczyć Niepośledniej Tchawicy. Kulka — mózg, serce, wyobraźnia spektaklu. Trzeba przyznać, że był w swej roli niepowtarzalny. Udało mu się stworzyć niezapomnianą kreację szybkiej ochronej na wzór szkła broniącego dostępu do Mory Lizy w Luwrze. A jednak, zabezpieczony przed tłuszcza tą kuloodporną taflą, Miłosz nie znalazł nic, co byłoby dlań Kuloodporne. Wdzięk Pana Janowych popisów zabił czystość obcowania z gościem i dopiero jego przemowa, inagurująca następnego dnia sesję literacką odsłoniła poetę zza Jana Kulkowego filtra.

Sesję tę otworzył wojewoda Zien-tara, odcytując z kartki przemówienie, które mu napisał... oczywiście, Jan Kulka. Bodaj przy takiej okazji mógłby dostojnik dać dowód sprawności pióra. W części wystąpienia wojewody dotyczącej powitania gości, Kulka pominął osobę biskupa łomżyńskiego, Mikołaja Sasinowskiego, być może dlatego, że ten zabiegał

o osobiste spotkanie z Miłoszem, co nie mieściło się w Jana Kulki planach. Po mowie Czesława Miłosza, nastąpiły właściwe odczyty. I znów chciałoby się wiedzieć, dlaczego przygotowane przez tych, a nie innych uczestników sesji. Tylko przyzwyczajenie referentów należy przypisać, że nie zakpiłi sobie z ogólnikowego hasła „Być poetą” i pozostali wyłącznie na gruncie literackim, chociaż jak wyżej wspomniałam, można było pohasać na różnych poletkach wiedzy. Ale też nawet ów rygor nie przyniósł nic takiego, co zmuszałoby do skrzyknięcia 50 paraczy pióra do Łomży. Były to wartościowe refleksje pisemne — jakich wiele — analizujące literackie aspekty uprawiania poezji i w tym stanie lepiej byłoby jej wydać i puścić w obieg zainteresowanym. Wyszłoby taniej, a przy tym skuteczniej. Referaty czytane przez nienajlepszych dykcyjni autorów, przy źle zmikrofonizowanej sali nie zawsze docierały do słuchaczy. Na dodatek, pierwszemu z czytających towarzyszył ustawiczny i wystarczająco głośny skrzyp drzwi wejściowych, oznajmających wchodzenie pożądlivych z kolejki, w rozdygotaniu trwającej piętro niżej. Prowadziła ona do poetyckiego raj — stoiska „Domu Książki”, gdzie przy ladzie kolejkowicie walczyli z nie ustawioną ciżbą na równi o czytelnikowski zbiór wierszy Miłosza i „Kuchnię Polską”. Dlaczego zaofiarowano taki serwis, nie wiadomo. Nie mniej było chętnych po jedne, co po drugie. Wieść łomżyńska niesie, że sprytniejsi zaopatrywali się w książkę noblisty bezpośrednio u Głównego Organizatora Imprezy, wprawdzie po dwie stowy, ale za to z autografem; bądź za kilka dni u pani Jadzi Charkiewicz, na zapleczu księgarni.

Po referatach miała być dyskusja, której nie było, bo... zabrakło Miłosza. Wyjechał zaraz po swoim wystąpieniu, czym zawiódł ogromnie wielu dziennikarzy i Zbigniewa Zapisiewicza, przybyłych w środku dostojnego obrządku z myślą, że pogadają z emigracyjnym literatem. Zapisiewicz na wieść, że Miłosza nie ma, chciał zaraz z Łomży bez słowa nawieść, czym dowiódł, że nie o imprezę mu chodzi; a dziennikarze po cichu kłeli organizatorów. Patrząc na to wszystko i słuchając, zrodziło się we mnie jedno jedyne — chociaż poniewczasie — rozwiązanie. Wyznaczyć trasę, niech się zlecał thumy; puścić na samochodowej platformie Miłosza, niech jedzie, a oni niech go oglądają, oglądają, oglądają — do nasycenia, naćpania się, namiloszowania.

Pisząc te słowa nasunęła mi się odpowiedź, której poszukiwałam podświadomie przez cały czas tych wywodów. Co naprawdę miał na myśli Jan Kulka formułując hasło „Być poetą”? Może po prostu to, co znalazło swoje miejsce w tym tekście.

MONIKA BRZUSCIEŃ

POŚLIZGI

Podchodzisz mnie tak uporczywie od strony tej mojej przeszłej pracy urzędniczej, partyjnej, jak to powiadają — w „aparacie”. Wiesz, to już tak daleko ode mnie odeszło, że trudno mi dzisiaj na ten temat monologować. Weź, bracie, te stare zapiski, jakie masz, bez wygładzenia. Masz w nich coś bez strojenia geby... Te z 2 marca zeszłego roku: „Muszę znowu uporządkować się wewnętrznie. Przez to, że zgodziłem się na pracę w Komitywie. Ściągnął mnie A. Ja najpierw odmówiłem. Potem kilkakrotnie impetyczne namowy z różnych stron. Najazd był silny, ale decydowałem wreszcie tylko sam, co oczywiste. Uczyniłem to z ciężkim sercem i w ostrej rozterce, waląc może zbyt dużo we mnie, «we środka». Mam dalej wątpliwości, ale jestem już po decydujących rozmowach. Zgodziłem się tylko dlatego, że mam «objąć» sprawę, na których jakoś się znam, dla, jak to widzi K., wprowadzenia nowej czy nowych koncepcji do widzenia całości ich w tym naszym rachitycznym województwie starowolskim. Idę tam, ale nie mam zamiaru zanadto się podporządkować zakusom ingerencyjnym. Nie mam zamiaru nadmiernie podporządkowywać się w sprawach przekonani. Rozterkę najsilniejszą przeżywałem w związku z wychowaniem religijnym dzieci i moim «świecłem myśli». Nie mam zamiaru być kim innym niż teraz jestem i nie mam zamiaru dopasować się do «pożądanego wizerunku funkcjonariusza aparatu partyjnego» w

przyszłości. Idę tam, bo nie czynię tego wbrew swoim przekonaniom, ale i nie mogę dać się na nowo «ulepić» wedle modeli stalinowskich. Idę tam, ale tym bardziej zastanawiałem się przed zgodą nad tym «kim jestem» w sferach, które zahaczają o dekalogi partyjne, i zastanawiam się nad tym teraz. Muszę po prostu skupić się w sobie i sprecyzować własne zasady, których muszę się trzymać. [...] Po wielu przemysleniach, powrotach do doświadczeń i zapisu pamięci rodzinnej we własnym pudle mózgowym, po lekturach i rozmowach z ludźmi, czuję się naprawdę bliski polskiej tradycji socjalistycznej, jednocześnie robotniczej i intelektualnej. [...] Absolutnie nie przystaję na partyjną tradycję stalinowską i złączoną z nią «narodowo-radykalną». Przystaję na to, co demokratyczne w partii, nie pogodzę się z tym, co autorytarne. Partyjnym atetstą z nakazu nie mam zamiaru być. Jestem człowiekiem wolnej myśli i nie mam zamiaru uwiązać jej w plotę stalinowskiego ateizmu, tak jak nie podporządkowałbym jej kościelnemu «myśleniu za mnie». W sferze wolnej myśli najbliższy mi jest Abramowski. Wymagają ode mnie, bym doprowadził w bliskim czasie do tego, żeby dzieci «nie chodziły na religię». Ja tłumaczyłem, była to rozmowa z K., że stosunki w mojej rodzinie opierają się na wzajemnej tolerancji przekonani, nie mogę więc obieścić, że oto

odzyskałem ogień

zaczynam być «aparatchykiem» i «kategorycznie zabraniam», bo ode mnie tego chcą. To jest najtrudniejszy moment niewolniczy, ale niewolnikiem nie będę... Odrzucenie wulgarnego ateizmu i swobodne zbliżenie się do religijności nie przeszkadza moim przekonaniom społecznym. Tylko sprawy te będę musiał domyśleć w kształty precyzyjne, żeby to, co jeszcze sprowadza się do intuicji, nie przeformowało się w bezpostaciowe klajstrowanie zasad. Całe to przystanie na propozycję podjęcia pracy pod czerwoną plachtą opieram nie na swojego rodzaju zapale, jak w roku 74; nie na posłuchaniu ukrytego rozkazu, jak to nieraz bywa, lecz na przekonaniach, które sprawiają, że mimo różnych goryczy i potrzeby częstego napinania uwagi, w partii jestem w zgodzie z sobą, choć od dłuższego już czasu starałem się nie angażować w sytuacje, które mogły być dwuznaczne; na tym więc zrębnie przekonani i jednocześnie na zachowaniu dystansu wobec roli, którą podejmuję. Angażował się będę tylko w to, co do czego będę uczciwie przekonany. Postaram się zrobić, co tylko będę mógł dobrego; nie świnić ludziom przez wpręganie ich w zniewolenie i korzystanie z przewagi władzy. Pozostawiam niezależności partnerów będzie dla mnie zasadą — oby mi się to udało. W pracy tej widzę tylko krótką sprawę przejściową, wiem przecież, że w nowej roli będę się

akceptował tylko częściowo...” Tak myślałem te dobre parę miesięcy przed Sierpniem — czy zasad tych i poglądów muszę się wstydzić dzisiaj?

Pytasz, dlaczego zatem odszedłem stamtąd w końcu zeszłego roku. Była to od początku sprawa przejściowa, zawsze wiedziałem, że nie mam temperamentu uległego biuralisty, ale potrzebne było mi jeszcze doświadczenie — coś masz tu w gryzmole z zeszłego października: „zbyt często przynoszę ze sobą niechęć wobec własnej pracy w instytucji komitetowej. Praca ta obezwładnia; dobija człowieka tak zwana dyspozycyjność (słowo to jeszcze żyje oficjalnie w nowomowie partyjnego urzędniczenia), cecha bezmyślnie wykonawcza, raczej nie cecha, a wymuszana gotowość. [...] Zgodziłem się na tę pracę bez doświadczenia, ulegając też impetom namowy i w jakiejś części idiotycznej próżności, że coś sposobem «gabinetowym» przeciągnę na stronę zaistnienia... Nabawiłem się za to rezygnacji, ale może wypali się ze mnie wszelka skłonność do bycia instytucjonalnym i oficjalnym”. I wiesz, co ciekawe, obudziła się wtedy we mnie swoboda, spontaniczność, z jaką wchodziłem do partii te dziesięć lat temu. Dobrze się czułem na zebraniach organizacji podstawowych, a od sierpnia wiele z nich odzyskało ogień. Wtedy się, bracie, przekonałem, gdzie jest właściwie partia.

STANISŁAW KOTHICA

ROLNIK I: Czekaj pan, odkausnę trochę (kasze i zaczyna śpiewać).
Życie to bajka zaklęta,
gdy kochają dziewczęta,
w oczach ich palą się skry.
Każda jedna zmarzona,
by w jego ramiona
upoić tęsknotę i lzy.
Znałem tyle dziewczuszek,
lecz przyznać się muszę,
że żadnej za nic...

DZIECKO: Jak tata wraca z knajpy, to podśpiewuje sobie tą piosenkę.

ROLNIK I:
Tylko z jedną, jedyną,
kochaną dziewczyną,
dni płyną jak gdyby we śnie.
Jaka piękna jest moja
dziewczyna,
gdy radośnie śmiać się zaczyna,
śpiewa jej cały świat.
A usteczka ma słodsze od wina,
gdy spragnione drżą.
Taka piękna jest moja
dziewczyna,
bo ja kocham ją.

ROLNIK II: U nas tu, proszę pana, knajpa była. Kiedyś, przed wojną, Żyd ją miał, a teraz jakoś to zajął GS i chłopcy zbierają się do tej knajpy popić.

KOBIETA I: Ba, no to Mężczyźni działają dobrze. A baby to co — chodzą i płaczą tylko. (śmieje się)

REPORTER: A często działają?

KOBIETA II: No to, wie pan, dawniej całymi dniami, jak podleci, pili.

KOBIETA II: Kiedyś walczyliśmy, żeby zlikwidowali w naszej wsi gospodę. No, napisały kobiety do gminy, do najważniejszych władz, do naczelnika gminy napisały, do GS-u, żeby zlikwidowali. No, zlikwidowali tą knajpę. Byliśmy początkowo bardzo zadowolone.

ROLNIK III: Wybudowaliśmy czynem, czynem, no — czynem, sami budowaliśmy, państwo nie pomagało. A to jak się robiło, to my w nocy kradli, drzewo kradli i pracowaliśmy. A teraz, ot, tu siedzimy. Zabrali i konie.

MŁODZIENIEC I: Baby strasznie źle zrobiły. Nie ma gdzie wypić kulturalnie, tylko człowiek chodzi po kątach. A tak normalnie sobie zaszedł jak gość do knajpy, wypił co trzeba, zjadł co trzeba, pogadał z kumpłami i poszedł.

ROLNIK II: Zostało teraz tak, że i obiadu nie mają ludzie gdzie zjeść.

MŁODZIENIEC I: No i tym babom darować nie można. W knajpie można poglądy wymienić, pogadać o różnych sprawach, o polityce, o kobietach. Dziewczyny też przychodzą — różne, wszystkie prawie przychodzą, można coś poderwać. Parę ciot nie przychodzi, mówią, że to z dobrych domów, ale to się nie liczy.

DZIEWCZYNA I: Że chodzimy na zabawy — nie można? Co ja myślę? To myślę...

MŁODZIENIEC I: Tak że w knajpie zawsze jest wesoło...

ROLNIK I: Na zabawę, na wypicie i na kochanie. Można się zapoznać i ożenić. Wie pan, dużo zapoznań takich jest, dużo jest. O to chodzi.

ROLNIK II: I zlikwidowali te knajpe.

KOBIETA I: Potem okazuje się, że to z każdym dniem jest coraz gorzej, bo nasi mężowie, zamiast się brać w pole do pracy, to częściej mają różne załatwienia. Do miasta wyjeżdżają, przyjeżdżają zachlani, nawet nieraz nie wie, gdzie jedzie. Koń jest mądrzejszy od niego, bo sam go na podwórko przywiezie.

ROLNIK I: A chłopcy jak pili, tak piją dalej.

KOBIETA I: Teraz jest jeszcze gorzej, jak było. Sie napijają i chodzą. Ciągają się wszędzie, po rogatkach gdzieś...

KOBIETA II: Płoty łamo. O, u mnie na wiosnę stawiałam płot i co druga sztacheta już nie ma.

KOBIETA I: Pójdę, wina nabiorą i piją. A potem z nerwów się tłuką.

KOBIETA II: Podrapane poprzychodzą, a potem na drugi dzień nie wie który z kim i o co im chodziło. A mój to już trzy razy zęby zmienił, coraz to ma inne i coraz gorzej narzeka. Dlatego że jak pierwszy raz miał, to miał dobrze zrobione, a teraz już widzę, że i tak na długo te zęby nie są mu trwałe, to zrobił, aby zrobić. Bo wie, że za tydzień znów przyjdzie z powrotem. Dostał od sąsiada, panie. W zęby to i nie tak dużo trzeba dostać. W zęby raz porządnie dał i wyleciały jemu. Dwa czterysta trzeba zapłacić.

ROLNIK IV: Mojej córki mąż to

właściwie już cztery protezy wstawiał. Bo zęby chłopcy powybijali jemu. Cztery protezy wstawiał — prawie dziesięć tysięcy te zęby kosztują — i nadal bez zębów chodzi. I co robić?

ROLNIK V: Powinni dentyści w mieście zrobić projekt, żeby te zęby jakąś trwałość mieli. Faktycznie, metal jakiś i tak dalej, żeby nieustępne były do złamania; twarde w rodzaju żelaza. Szczeka, żeby wybiegła, wyleciała, a zęby pozostali się nadal. Dentyści nie mieliby kłopotu i ludzie też. Cały problem jest tego wszystkiego, żeby żalazne były zęby, twarde, nierdzewne.

MŁODZIENIEC I: To, wie pan, zdarza się każdemu. Była mała rozróbka, niechcący dostałem. Potem co, poszedłem do ośrodka, zrobili opatrunki i w porządku. No, potem dwa lata w zawieszeniu, pierwszy raz...

REPORTER: Aha, że nie recydywa, tak?

MŁODZIENIEC I: Nie, nie, nie...

ROLNIK IV: Sześciu chyba siedziało, jeden jeszcze siedzi. Dostał półtora roku, a półtora miał w zawieszeniu. Walimy dalej, ja też nie chcę w mazak dostać.

cież! Teraz już tych małorolnych nie ma, tylko są gospodarze, którzy mają różne gospodarstwa. Jak wypiją, to każdy bogaty, dobrobyt, wszystko. Wtenczas przynosi parę złotych w kieszeni, hojny, że jeszcze jemu zostało z knajpy. Bogaty wtenczas jak nie wiem. I tylko o dobrobycie by gadał. Ale wziąć się za pracę, to naprawdę byłby dobrobyt.

ROLNIK II: To tak było, jak poprzednio pan przyjeżdżał, trzy miesiące wstecz. Teraz się poprawiło. No, głupie baby nic nie wygrały. Trzy miesiące tak było, aż zaczęły pisać, prośby składać, żeby otworzyć te knajpuchę. No i nareszcie otworzyli, knajpę tę i jest znowóż porządek. Kobiety zadowolone, no i mężczyźni też zadowolone. Nie ciągamy się i nie szukamy jakiś potajemków; otwarcie siedzimy w knajpie i pijem te piwko.

ROLNIK IV: I wie pan, pan poprze trochę, żeby oni tam trzymali trochę lepszy porządek, bo już tam zaczynać konie wchodzić, pan zobaczy. (śmiechy ludzi stojących obok) A co, nieprawda? Cholera, zabawy robią, a nie ma komu sprzątać i nic nie ma komu, tylko, panie, oni



kryzys

MŁODZIENIEC II: To jest chyba tutaj, to jest z pokolenia na pokolenie przekazywane. Nie ma knajpy...

REPORTER: No i co tutaj teraz robi ta kawalerka?

MŁODZIENIEC II: Jak to co? Stoi, papierosy pali.

ROLNIK IV: Jeszcze spać nie da, cholera... Na tej ławce co się robi, to ja spać nie mogę. Młode, panie...

MŁODZIENIEC I: No, kryzys to jest, nawet nie ma gdzie co zjeść.

KOBIETA I: Ja bym dała kryzys im. Niechby się wzięli twardo do pracy, toby nie było kryzysu. A tak to na pewno będzie. Mieliny się w okolicy porobiły, no i teraz nie wiadomo, gdzie tego męża szukać, a przedtem to przynajmniej człowiek wiedział, że zaszedł do tej gospody i że tam jego znajdzie na miejscu, weźmie za głowę i ciągnie do domu, wyprowadzi. A teraz trzeba szukać nie wiadomo gdzie, nawet nie w jednej wiosce. Jak nie ma w jednej wsi, nie dostanie, to aż na drugą, kłopot z nimi niż kiedyś, jak była ta gospoda na miejscu. Poważni ludzie prze-

w bombę tutaj dają, że dwa dni piją.

KOBIETA III: A co tutaj narzekać? Nic. A kto wybił te okno, że kunie wchodzi, to ja nie wiem.

ROLNIK VI: Tańczą. Tak na ogół to niby wszystko w porządku, tylko że ten nieporządek zaraz na drugi dzień jest. Ale co zrobić?

ROLNIK IV: Dlatego że tam wszystko bardak. No i nie będę więcej nic mówił.

ROLNIK III: Tak zwana krypa. Piwialnie nazwali krypa. No, tak jak krowy idą do wody, tak ludzie do krypy, i piją. Piwo piją.

KOBIETA III: Bo jak jest za dużo piwa, to jest wesoło. Napiją się piwkiem i co? Wesoło, a konie...

KOBIETA IV: Ja tam na zabawy nie chodzę i nic nie wiem.

KOBIETA III: Ale krzyżeć krzyżysz — tak samo, jak i ja. (śmieje się bardzo głośno)

REPORTER: Czego się pani śmieje?

KOBIETA III: No, czego? No bo to takie śmieszne — tam pan tak nadstawia.

REPORTER: Ale to mikrofon.

KOBIETA III: To ja rozumiem. (śmieje się jeszcze głośniej) Ja żartuję chyba. Już jak bym nie wiedziała, co to jest, no to na co ja bym żyła w dwudziestym wieku?

REPORTER: Jak daleko stąd do krypy?

KOBIETA III: Ja wiem, z pół kilometra pewnie.

REPORTER: To niedaleko.

KOBIETA III: A nie! Dogoda jak trza. Ja to nie mam nic pretensji do krypy, bo mój mąż w porządku. Te młode troszkę. Oni i bez krypy napiją się, jak zechcą.

(Gwar rozmów, brzęk szkła)

REPORTER: Pan tu jest kierownikiem?

BARMAN: Tak jest, proszę pana. No, jak tylko otworzyli ten lokal, to do trzech miesięcy już.

REPORTER: Co pan tutaj sprzedaje gościom?

BARMAN: Napoje orzeźwiające takie, chłodne napoje, takie jak piwo, woda sodowa, no i wódka. Parę skrzynek dziennie wychodzi tych napojów.

REPORTER: Dużo pan sprzedaje wódki?

BARMAN: Tajemnica służbowa, proszę pana.

REPORTER: Co tu można u pana zjeść?

BARMAN: Jajko, sałatkę można zjeść, serek topiony i żółty serek można zjeść. W każdej ilości, tak jest. W poniedziałek kaszankę można zjeść, ogórki można zjeść, grzybki można zjeść. Specjalność zakładu to jest herbata z cytryną. Parę filiżanek tak dziennie idzie. Przeważnie to woda mineralna, piwo, takie coś idzie.

REPORTER: A tej wódki?

BARMAN: Panu mówiłem, że to tajemnica służbowa, ile to wódki się sprzedaje.

REPORTER: Nie dowiem się?

BARMAN: Nie.

REPORTER: Ja słyszałem, że tu zawsze goście tacy sami do pana przychodzą.

BARMAN: To są porządni ludzie, płacą. Żaden, jak to się mówi, na krechę nie bierze. Zawsze płacą, i to dobrze płacą. Ile rachunek wystawię, tyle płacą. Bo tutaj naród jest hojny, dobry naród, hojny naród.

REPORTER: A ja słyszałem, że zęby wybijają.

BARMAN: Zębów nie wybijają; to tylko pogłoski takie, że zęby wybijają. Tu żaden ząb nie wyleciał u mężczyzny. I żaden włos z głowy nie spadnie w mojej restauracji. To kobiety. Niepoważne wszystkie. Głupie kobiety tylko tak... mówią.

ROLNIK III: Przyjdzie taki upał słoneczny, tego piwka wypić i tego haka, to lepszy nawet apetyt do jedzenia, to knajpa może być. Ja już sam starszy człowiek, ale to fajne i przyjemne, i pożyteczne właśnie.

KOBIETA II: Co niedziela zabawy, bawio się, w grdyk sobie dają i... Tu w doły chodzą sobie zaraz na spacer.

MŁODZIENIEC I: No to pan by się przekonał. Ciekawa, ciekawa sprawa.

MŁODZIENIEC II: Po prostu jest za duży tłok tutaj, nie można się pobawić. Mała sala, za przeproszeniem — jeden drugiemu boki obija, nie można się po prostu pobawić. Jeżeli by to, jakby się należało...

MŁODZIENIEC III: I dlatego właśnie się biją, bo ciasno jest na sali. Łokciami się trącają i z tego bójkę wychodzą. To jeszcze jest dlatego, że strażaki gaszą światło. Przed każdą zabawą oni muszą dostać dwa litry wódki — tak każą — i skrzynkę piwa. A jak nie dostaną, to gaszą światło i nie ma zabawy, bo się wszyscy biją. Dziewczyny piszcza, się robi zamieszanie, nie wiadomo, kto kogo wtedy...

ROLNIK IV: Biją wszyscy jak jeden, jak jeden mąż.

DZIECKO: I tata wesoły jest, jak wraca z knajpy. I daje nam cukierki, i pieniążki. My się cieszymy, a mama płacze. I nie wiem, dlaczego mama płacze.

ROLNIK I (śpiewa):

A usteczka ma słodsze od wina,
gdy spragnione drżą.
Taka piękna jest moja
dziewczyna,
bo ja kocham ją.

TOMASZ PIOTROWSKI

obcy zaje



3 listopada

Jednak Krzyskowi spodobałam się, chociaż trochę zainteresował się mną, skoro zadał sobie tyle trudu, żeby przyjść, pogadać, zaprosić. Widać mu na tym zależało, tylko dlaczego przylazł z jeszcze obłędniejszym niż sam? Boże, żeby mu chociaż nie odbiło pójście do „Wodnika” albo „Ekranu”. Naprawdę, nie chcę na początek iść do takiego ekskluzywu; mam nadzieję, że będzie żałował forsy. I żeby nie spotkać nikogo znajomego!

10 listopada

Umówiłam się z Krzyskiem na piątek; on chciał wcześniej, ale figa. Ja nie mam ochoty. Najgorsze jest to, że on znowu po mnie przyjdzie. A tam! Niech sobie dziewczyny mówią, co chcą.

Przed bramką przestaliśmy 20 minut. Krzysiek prosił, żebym przyjechała w niedzielę, pójdziemy na dyskotekę. Ale ja w ogóle nie mam ochoty iść z nim na dyskotekę. Jeszcze tam spotkam kogoś znajomego i po co mi to? Żeby on był chociaż ciekawy. Jeszcze nie wiem, jak się z tego wygram, spróbuję, może się uda. Z jakiej racji ja mam się poświęcać? I tak wczoraj odsuwałam się od niego, jak mogłam, bo chwilami miałam wrażenie, że mnie pocałuje. Nie chcę tego, nie. Bo wtedy już będzie nas coś łączyło, a do tej pory jesteśmy niezależni i mam szansę na poderwanie Komunisty, jeżeli będzie na prywatce. To jest dopiero chłopak! A Krzysiek? Na początek może być. Na razie tak go traktuję, a potem — nie wiadomo.

15 listopada

Idziemy sobie na rynek. Kupimy konia! To miał być dowcip. Ale chociaż raz zobaczę go w dziennym świetle, on zresztą mnie też. I zawiodę się. Krzysiek jest okropny, a mimo to coś mnie ciągnie do niego.

Jednak dobrze się złożyło, że go poznałam. Jaki on jest, to jest, ale zawsze jest z kim połączyć, nie siedzę w domu i nie ziewam. Ciekawie, kiedy nam się skończą tematy. Tylko że jesteśmy coraz bliżej siebie. Taaak! Dzisiaj Krzysiek pozwolił sobie na trochę czułości, potem go trzymałam pod rękę. Wszystko to było w granicach przyzwoitości. Podobają mi się to, nie lubię nachalności i natręctwa, nie znośzę i nie cierpie.

Na koniec dałam mu lekkiego całusa, tak po przyjacielsku, w policzek. Niech on sobie zbyt wiele nie wyobraża. Tylko kto go wie, co on sobie myśli?

17 listopada

Kiepska sytuacja. Krzysiek się we mnie zakochał. Przynajmniej tak twierdzi. I co ja mam zrobić? Zaczęło się fajnie. Ale ja naprawdę zgodziłam się na to spotkanie z nudów, dla zabicia czasu. A przecież mu tego nie powiem. Skłamać też nie mogę. Jestem w kropce. Jak mam to rozgryźć? Oj, nawarzyłam sobie piwa, to je muszę wypić. Nie mogę zerwać z Krzyskiem, bo znowu zostanie sama i co będę robić? Ale, do licha, co ja mam mu powiedzieć? Chyba prawdę, lecz w jaki sposób? Nie kocham go, to jest pewne. Ale polubiłam bardzo i nie chcę się z nim rozstawać. Będzie mi go bardzo brak, bo już się do niego przywiązałam.

Powiem mu to chyba, bo to jest jedyna prawda. Trudno, trzeba za ryzykować. Nie myślałam, że się tak sprawy potoczą i będę w takiej głupiej sytuacji. On powiedział, że mu się spodobałam już w pierwszej chwili, mój sposób bycia (ciekawe, jaki — nie powiedział) itp. Bardzo słuchałam, a szkoda. Aha! Powiedział, że jestem bardzo dziecinna. Skrzywiłam się, a teraz żałuję, że nie kazałam mu tego wyjaśnić.

18 listopada

Nie wiem normalnie, co robić, objam się z kąta w kąt. I trochę żałuję, że nie umówiłam się z Krzyskiem. Jednak tęsknię za nim. Mimo wszystko.

Sama nie wiem, jak określić to uczucie. Ale jakimś uczuciem to jest. Miłość na pewno nie, bo całując Krzyska czuję niesmak, nawet odręzę. Nie mam takiej potrzeby. Przyjaźnia to też nie jest. To chyba przywiązanie. Taki korek dla zapchania wolnego miejsca. I po co mi to było? Wplątywać się w taką aferę.

23 listopada

Krzyska chyba ciągnie do mnie jak cholera, zakochał się, biedak. Trudno. Zdarza się. Ale siebie zro-

zumieć w żaden sposób nie mogę. Dzisiaj np. byłam u Krzyska, żeby napisać mi z angielskiego. Zjadłam u niego kolację, wypilałam wodę z miodem (bo jestem przeziębiona), jego mama przyniosła mi nawet jabłek. W sumie zajęło nam (razem z pogaduszkami, Krzysiek też zrobił w międzyczasie jakiś wykres) ok. 2 godz. O godz. 20.45 wyszliśmy. Krzysiek miał mnie tylko odprowadzić i wrócić, a przestaliśmy pod domem dokładnie całą godzinę. Oj, gdzie moja silna wola!

25 listopada

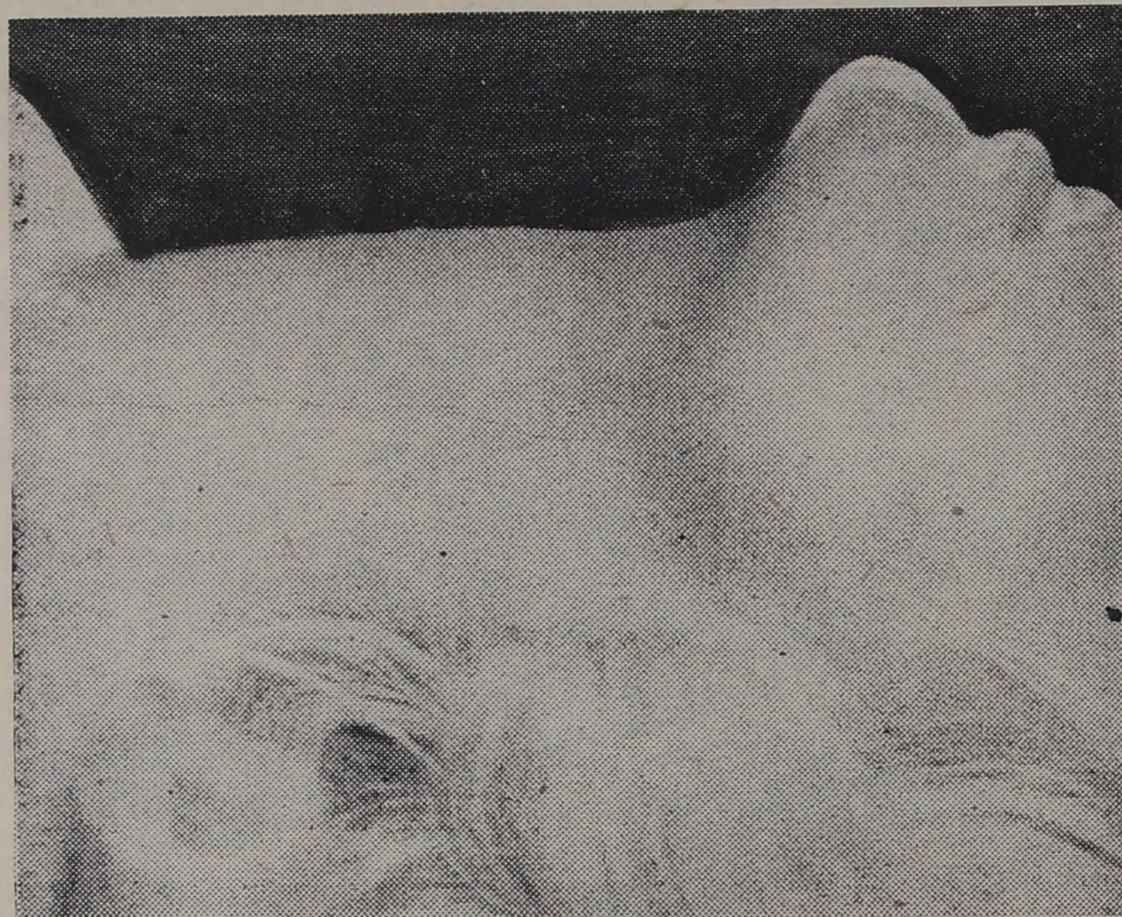
Przyszedł z kwiatkiem, czerwonym pączkiem goździka. Byłam tym zażenowana. Trochę posiedzieliśmy przy stole, ja robiłam jadalospis, on temperował ołówki, potem coś czytał, wreszcie trochę pogadał. Krzysiek siedział na oparciu tapcza-

Poszukam sobie innego chłopaka, może uda mi się poderwać Zbyszka? Chłopców w internacie jest dużo, może się coś da zrobić. Nie, Krzyskiem to ja sobie nerwy zepsuję. Czas to skończyć.

30 listopada

Baba, która miała mi dać pościel w internacie, nie miała czasu, więc umówiłam się z nią za 20 minut. Musieliśmy to z Krzyskiem wykonać. Pojechaliśmy za Wilkasy. No i ta droga powrotna — przeżycia wcale nie miłe. Mam po prostu wyrzuty sumienia, że oszukuję Krzyska. On zatrzymał w lesie samochód (tego się najbardziej obawiałam i ze strachem czekałam na to) i oczywiście nastąpiły pocałunki. Ja się już do nich przyzwyczaiłam, tak że nie robią na mnie już takiego wrażenia. Ale Krzysiek pchał łapy tam,

namiętność



z nudów

na, ja na krześle w jego objęciach, trochę mnie całował. Mogłam to znieść, było wszystko w porządku. Ale potem zaczęło się to, czego bardzo żałuję. No, może nie tyle żałuję, co czuję wielki niesmak i wyrzuty sumienia. Krzysiek mi wyznał miłość. Powiedział, że mnie kocha i spodziewa się tego samego z mojej strony. A ja co mu mam powiedzieć? Oj, wplątałam się!

Boże! Jak on mnie całował! Nie, to było straszne. Myślałam, że nie wytrzymam. On naprawdę zakochał się, a ja byłam zupełnie obojętna, jak kłoda drewna. Leżeliśmy na tapczanie i nastąpiło chyba coś strasznego. U Krzyska doszło do wytrysku nasienia. Nie jestem pewna, bo się na tym nie znam, ale wydaje mi się, że mam rację. Paskudna sprawa. Dopiero teraz rozumiem sytuację. Przecież nie mogę oszukiwać chłopaka, jak najszybciej należy wprowadzić go z błędu. Tylko zupełnie nie wiem, w jaki sposób to zrobić? Głupia sytuacja, zupełnie nie mam odwagi i śmiałości. W ogóle jestem w błędnym kole. Mam cichą nadzieję, że jak pójdę do internatu, to się jakoś uspokoi, może uda mi się poderwać jakiegoś chłopaka w tym cholernym internacie, wtedy będę miała jakiś pretekst, żeby zerwać z Krzyskiem.

26 listopada

„Nutria” wygoniła Krzyska na zbyty łeb! Ale dobrze zrobiła. On ją wyzwał od najgorszych, ona mu też nie poskapiła obelg. Ale miała rację. Po co tu przylaził? Niech siedzi w domu. Boże, jak ja nie cierpię Krzyska, jaki on jest obrzydliwy, paskudny, obłędny, wstrętny, odręający, że ja tego wcześniej nie zauważyłam. Sama się sobie dziwię. Nie, ja to muszę jak najszybciej załatwić, zerwać z nim, skończyć, nie oszukiwać jego i siebie samej. Bo w końcu jak długo mam zmuszać siebie do pocałunków, udawać, że mi to sprawia przyjemność. Jak tak dalej pójdzie, to ja się szybko wykończę, wyrzuty sumienia mnie zagryzą.

gdzie nie powinien. Oczywiście miał wielkie trudności, i to mnie najbardziej ubawiło. Bo byłam w brązowej spódnicy, beżowym swetrze, bluzce koszulowej pod spodem i apasce na szyi. Bluzki mi rozpiąć nie mógł, bo była zakryta swetrem, od góry szyję też miałam owiniętą. Trochę rozbawiła mnie ta sytuacja. Ale znalazł sposób. No i rozpiął mi guzik pod swetrem na tyle, żeby mu ręka weszła. Oczywiście byłam w biustonoszu, ale on sobie z tym świetnie poradził. Nie broniałam mu, niech ma chłopak jakąś radość. Chociaż nie byłam tym wcale zachwycona.

2 grudnia

Pojechaliśmy z Krzyskiem za miasto, ale mieliśmy tylko pół godziny dla siebie, to mało. Ale teraz będzie tak zawsze. Zaczynam rozumieć, co tracę, ale jest już za późno.

Ja już sama nie wiem, co jest grane. Jak określić uczucia moje do Krzyska? Mówię, że go nie kocham, ale tęsknię za nim, za jego widokiem, pocałunkami, które właściwie nie cieszą mnie i nie dają satysfakcji. Najchętniej siedziałabym w jego objęciach. Jest tak miło i przyjemnie. Ale nie lubię, jak on na zbyt wiele sobie pozwala. A wczoraj normalnie nie mogłam się z nim pożegnać. Chyba że trzy razy wracałam, żeby go pocałować. Jednak coś w tym jest. Mimo wszystko muszę poszukać atrakcyjniejszego chłopaka, i to tu, w internacie.

3 grudnia

Dzisiaj nie ma angielskiego, przychodzimy dwie godziny wcześniej, umówiłam się z Krzyskiem na szóstą, oczywiście nie zjem kolacji. Tak, dochodzi już do tego, że dla Krzyska rezygnuję z kolacji.

Wczoraj cały wieczór zastanawiałam się nad sobą, Krzyskiem. I nie doszłam do żadnego wniosku. Nie wiem, czy to jest miłość, czy też nie. Sądzę, że tak. Bo (a jednak) bez Krzyska żyć nie mogę, jest mi bez niego smutno i pusto, czegoś mi brak, powiedzmy — kogoś. Jednak on jest mi potrzebny, bo co ja bym

bez niego zrobiła? Siedziałabym całe wieczory sama i pewno wdychałaby do księżycy.

Jeżeli się za nim stęsknię, pójdę do niego w poniedziałek, jeżeli nie — to we wtorek. Albo też nie. Zależy od mego samopoczucia. Od tego, jak długo wytrzymam. Postaram się poskromić swoje uczucia i wytrzymać do środy, kiedy to się spotkamy dopiero na religii. No i dobrze, nie zależy mi na Krzysku. Mam go gdzieś. A wieczory postaram się jakoś zapełnić, przywiozę jakieś dzieło czy dobrą książkę. I mam go tam, gdzie go mam.

10 grudnia

Zaznaczam w kalendarzu, kiedy spotkam się z Krzyskiem. Robię to nie od początku, ale początek od tworzyłam na podstawie pamiętnika, więc wydaje mi się, że to jest raczej dokładne. Zaraz sobie policzę, ile to było spotkań: sądzą, że dużo.

Poznaliśmy się 4 listopada. Potem Krzysiek był u mnie w niedzielę, ale pierwsze nasze spotkanie było we wtorek, 9 listopada. Tak, spotkał się 21 razy od 9 listopada. Tzn. w ciągu 1 miesiąca — 21 razy, czyli częściej niż co drugi dzień. Oj, gęsto to nam wyszło. Ale to Krzyska winna. On się naprawdę we mnie zakochał. A ja? Boże, jaka ja jestem zimna. To, co on wczoraj ze mną wyrabiał, to jest zbyt trudne do opisanego, a mnie niewiele wzruszyło. Nie czułam żadnej radości, żadnego zadowolenia. I nawet gdy czułam jego piersi na swoich, gdy czułam jego pocałunki na swojej szyi, było mi tylko przyjemnie. Nic poza tym. Jest mi naprawdę przykro z tego powodu. Czyżbym była oziębła płciowo? Oj, to niedobrze, to bardzo źle. Ale ja np. nie mam odwagi pocałować Krzyska, oczywiście wtedy, gdy on mnie całuje, bo na powitanie czy pożegnanie cmokam go, gdzie popadnie.

Nie wiem, jak to określić, ale czuję się jakoś tak niewyraźnie, nieswojo w towarzystwie Krzyska. Mimo iż on jest mi potrzebny, zapełnia mi pustkę, to jednak jest także jakiś obcy, daleki. I naprawdę z całego serca chciałabym znaleźć takiego chłopaka, którego bym kochała, który by mi się podobał, któremu bym oddała serce, a nie takiego, który zapełnia pustkę miejsce. Nie chcę takiej namiastki, pragnę prawdziwej miłości. I wcale nie muszę być ten wysoki, przystojny chłopak, który podobałby się wszystkim dziewczynom, ale żebym ja go kochała i nie wstydziła się go pokazać. Bo, niestety (z przykrością muszę przyznać), Krzyska wstydzę się, wstydzę się z nim gdzieś pokazać. Co jest, do groma? Sama też nie jestem piękną, więc kiego licha się czepiam? Cóż ja sobie wyobrażam? Ze znajdy rycerza z bajki? Oj, marzenia, marzenia.

A ten Krzysiek też dobry! Chyba zrobił się zbyt pewny siebie, a ja czuję, że chyba coś zaczyna się psuć, no... w każdym bądź razie jest inaczej niż na początku. Może to dlatego, że już się przyzwyczailiśmy do siebie i jesteśmy naturalni, zachowujemy się normalnie?

Krzysiek powiedział mi kiedyś, że on od początku wiedział, iż ja się w nim zakocham. Ale on wcale nie miał racji. Ja raczej nie planowałam tego na dłużej, dopiero mnie potem wciągnęło i chyba wcale nie tak bardzo mocno, jak to się jemu wydaje. W każdej chwili chyba mogłabym zamienić Krzyska na innego chłopaka.

A wczoraj wieczorem doszło do strasznych rzeczy... Nie, to oczywiście nie są rzeczy straszne, tylko ja się sama sobie dziwuję, że na to sobie pozwalam. A w ogóle to bardzo zobojętniałam wobec „tych spraw”. Dałam się Krzyskowi rozebrać prawie do naga, bo potem to i spódnice, i rajstopy z majtkami miałam ściągnięte prawie do kolan, i było mi wcale przyjemnie w objęciach Krzyska, tylko się trochę bałam, że może ktoś wejść. I już nie miałam żadnych skrupułów wobec Krzyska, gdy on mnie tak prawie całą całował, gdy wsadzał ręce tam, gdzie zupełnie nie powinien.

Kiedyś, gdy mnie tak całował, to pomyślałam sobie, że zgodziłabym się nawet na stosunek, że nie miałabym nic przeciwko temu, pomijając to, że mogłabym przecież zejść w ciążę, i tylko tego boję się, niczego innego.

GRAZYNA

(nazwisko i adres znane redakcji)
Fot. GABOR LÖRINCZY



Wiosną 1924 roku był na Kurpiach wielki ruch. Lud kupami wyszedł na goście. Niósł w sobie zapiekłość. Na Zlego, który był w mieście Kolnie i wydierał im chudobę z chałupy. Z kijami szedł lud i ze złością twarda.

Wokół rewolty w łapciach — większość ludu miała na nogach buty z łyka — narosło wiele legend i półprawd. W pierwszych latach rzeczą była dla historyków zbyt świeża; wśród innych wydarzeń niezbyt znacząca. Trwały spory o racje stanu; odchodziła od historii klasa szlachecka, formował się kapitalizm; wybuchały strajki ekonomiczne w Łodzi, Warszawie, Zagłębiu, w Małopolsce, na Kujawach. Szła zażarta walka o reformę rolną; policja strzelała do demonstrantów, a Posłowie w Sejmie skakali sobie do oczu w sporach nad aktami normującymi porządek społeczny. Każda z grup chciała, aby wszyscy służyli jej idei.

W tym natłoku zdarzeń wystąpienia Kurpiów omal nie przegapiono. Gdy wiadomość nadeszła do Sejmu politycy z ław w większości zainteresowali się przede wszystkim charakterem politycznym zajść, „kolorem” ośrodka przywódczego. Okazało się jednak, że wszystkie posądzono o tę rolę partię — od nielegalnej KPP do skrajnej prawicy — zaskoczone są tymi wydarzeniami, i że nie ma instytucjonalnego ośrodka przywódczego. Wtedy dopiero przysły refleksje. Endecka „Gazeta Warszawska” nazwała wystąpienia „chamskimi burdami”. Za Kurpiami upomniała się KPP i PSL „Wyzwolenie”.

Dopiero w oparciu o materiały dokumentujące te działania, w kilkadziesiąt lat później próbowano wielokrotnie analizować te zajścia. Brano jednak z nich to tylko, co służyło ograniczonym ramom tematów pracom. Ta kierunkowość była przyczyną niedostrzegania tego, co naj-

Dokładnie w miesiąc po wydarzeniach — 11 maja 1924 roku „Wyzwolenie” w artykule „Co to było na Kurpiach” pisało: „Ludność wiejska w tak zwanej Puszczy Kurpiowskiej wielokrotnie dawała dowody miłości Ojczyzny, jak na przykład w powstaniu 1863 roku, gdy najdłużej w tamtejszych lasach powstanie się utrzymało, a ostatnio w roku 1920-ym przy wypędzaniu bolszewików, gdy tylko w jednej wsi Zemani zginęło 7-iu mężczyzn w walce z najeźdźcami. Nie można więc posądzać tej

gać się z policjantem. Wobec widocznego jaskrawego gwałtu ze strony przedstawicieli władz na krzyk wszczęty we wzmiankowym mieszkaniu, zebrana ludność nie dopuściła się dalszych bezpraw, ci wyjeżdżając zabrali ze sobą różne rzeczy zafantowane na podatki.

Dnia 30 III br. w niedzielę po nabożeństwie w Turośli włościanie wsi Ruda i sąsiednich udali się do urzędu gminnego i zażądali od wójta wydania zabranych rzeczy, przy czym podczas rozmowy sekretarz



ludności, aby była obojętna na losy kraju.

W ostatnim czasie gazety prawicowe rozniosły po świecie wiadomość, że w paru wsiach w powiecie kolneńskim ludność kurpiowską jakoby wszczęła rozruchy przeciwko władzom. Domagały się też „ósemkowej” gazety „surowych” kar na rzekomych przestępców. Cóż to było takiego?

Jaśniej o przyczynach wystąpienia Kurpiów mówił „Wniosek nagły” pisma Kordowskiego i innych z Klubu ZPSL „Wyzwolenie” i „Jedność Lu-

gminny uderzył jednego z włościan, wskutek czego między obecnymi wywiązała się walka, w wyniku której został ciężko pobity pomocnik sekretarza gminnego i leżąc pobici wójt i sekretarz gminny.

W tym samym czasie we wsi Bardzików w gm. Stawiskiej tegoż powiatu przytoczone na wstępie podatki były ściągane w analogiczny sposób, przy czym egzekutorowie przybyli do wsi w nocy. Podniecona tym niesłychanym gwałtem ludność domagała się zwrotu zabranych rzeczy na miejscu, co nie zostało uw-

Zważywszy, że przytoczone zajścia wywołane zostały bezprawnym postępowaniem władz administracyjnych i brutalnym zachowaniem się policji, która zajścia te sprowokowała, podpisami wnoszą: Wysoki Sejm uchwalić raczy: Sejm deleguje komisję, złożoną z przedstawicieli 9 największych klubów sejmowych celem wyjaśnienia na miejscu istotnych przyczyn przytoczonych zajść, a to celem pociągnięcia do właściwej odpowiedzialności winnych ich sprowokowania”.

Podatki, o których mowa w poselskiej interpelacji sejmiku powiatowy uchwalił 22 lutego 1924 roku z inicjatywy starosty kolneńskiego Stanisława Brzęczka. Miały to być podatki płacone nie od ilości posiadanej ziemi czy dochodów, ale od liczby członków rodziny oraz przez wszystkich posiadaczy domów — o ile domy te miały okna i kominy. Oczywiście, że przy takim sformułowaniu uderzało to przede wszystkim w wielodzietne rodziny Kurpiowskie.

Oficjalnie wpływy z podatków miały być przeznaczone na utrzymanie szpitala i budowę gimnazjum w Kolnie. W rzeczywistości — jak donosiła „Wspólna Praca” w numerze 14 z 18 lipca 1925 roku — Brzęczek chciał w ten sposób pokryć niedobory w budżecie powiatu, powstałe z jego zresztą winy. Sama uchwała, jak się później okazało, była nielegalna.

Wniosek zgłoszony przez ludowców w Sejmie został uchwalony. Jednocześnie przebywający w Kolnie na wiecu poseł Bogusław Miedziński udał się do obecnego wtedy również w Kolnie wojewody białostockiego. Starosta Brzęczek został odwołany ze swego stanowiska. Rząd polecił urzędowi skarbowemu obniżyć podatki gruntowe na Kurpiach o połowę.

Ale to wszystko przyszło po protestach. Już po tym, co było najbardziej dramatyczne, po nocy 11 kwietnia na drogach prowadzących do Kolna.

Pierwsi wyruszyli „na Kolno” Kurpie ze wsi Zabiele. Rolę przywódców przypisuje się tu Stanisławowi Krupce ze wsi Zimna — członkowi Zarządu Głównego PSL „Wyzwolenie”; Władysławowi Kulisiowi ze wsi Potasie; Franciszkowi Naturaliście ze wsi Nowa Ruda — członkowi Zarządu Powiatowego PSL „Wyzwolenie”; Józefowi Rudnickiemu ze wsi Krusze oraz Franciszkowi Nadrakowi ze wsi Lipniki.

Pochód ruszył 11 kwietnia po południu. Na przodzie szły kobiety. Bogatszych chłopów, wahających się czy przystąpić do rewolty, zabrano przymusem. Uprzedzone o rozruchach władze zgromadziły w Kolnie i przy drogach prowadzących do miasta znaczne siły policji. Na szczęście z połowy drogi zawrócono wezwany na pomoc 33 pułk piechoty z Łomży. Władze — pisał we wspomnieniach „Jak walczyli Kurpie w 1924 roku” Antoni Opęchowski — obawiały się przejścia wojska na stronę chłopów. Trudno dziś stwierdzić, czy akurat taka obawa kierowała postępowaniem władz. Prawdopodobnie obawiano się raczej reakcji zwierzchników.

„Późnym wieczorem, po sforsowaniu barykad stawianych przez policję na drodze prowadzącej do Kolna, około 5 tysięcy Kurpiów znalazło się na jego przedmieściach. Policja zaatakowała tłum. Walka trwała całą noc. Chłopi zaatakowali miejscowy areszt, zajęli urzędy, zniszczyli akta. Nie doszło jednak do właściwych takim momentom aktów grabieży. Stanowili w swej masie jakiś porządek rewolucyjny”. Relacja Antoniego Opęchowskiego pokrywa się z potoczną wiedzą o tych wydarzeniach. Odmienne nieco, a w niektórych momentach kłócące się z tym informacje, znaleźć można jednak w zeznaniach na procesie 18 Kurpiów, „najbardziej aktywnych” spośród gromady, którzy stanęli przed sądem przeszło rok później.

(c.d.n.)

ZENON PIECHOCIŃSKI

O „Marszu Kurpiów na Kolno” pisali m. in.: Zofia Tomczonek w pracy „Ruch ludowy na Białostoczczyźnie 1918-39” (LSW 1978); Henryk Cieśluk: „Wspomnienia — Tradycje i współczesność ruchu lewicowego w regionie łomżyńskim” (Łomża 1979); Stanisław Krupka „Zamięć nad Płsą” (maszynopis). Antoni Opęchowski „Jak walczyli Kurpie w 1924 r.”, Stanisław Szyszkowski, „W 40 rocznicę KPRP” (jednodniówka, Białystok, 4 12 1958).

rewolta w łapciach

istotniejsze. Próbowano więc określać je jako wystąpienia antypodatkowe, wykorzystywano walor spektakularny. A przecież bez opowiedzenia o wszystkim z detalami — co mam zamiar uczynić w kilku tekstach na ten temat — nie sposób zrozumieć na czym polegała niezwykłość tego zjawiska.

Bo nie jest prawdą — jak chce wielu, że nie było organizatora wystąpień. Była nim wyjątkowa nędza, w jaką wpędzono mieszkańców puszczy. Zrealizowała się zatem w praktyce marksowska teza o bycie określającym świadomość. W surowej, czystej postaci. Niewiele jest w historii społeczeństw przykładów, gdzie związek pomiędzy sprawami materialnymi a działaniem byłby tak bezpośredni. I gdzie bezpośredność — nie oznaczałaby — jednoznaczności.

Kurpiowszczyzna, jako część dawnej ziemi łomżyńskiej — rozciągała się od Różana w kierunku na północny-wschód do Kolna, obejmując w latach dwudziestych naszego stulecia powiaty: Maków Mazowiecki i Przasnysz w województwie warszawskim oraz ostrołęcki i kolneński w województwie białostockim. Ziemię tu były piaszczyste, wśle rozrzucone wśród lasów na kilku nieraz kilometrach. Znaczna część gospodarstw została zniszczona w czasie pierwszej wojny światowej i wojny 1920 roku.

Nędza była powszechna. Uprawa ziemi stała się głównym zajęciem Kurpiów dopiero w wieku XIX, gdy ogólnie gospodarka rolna zaczęła podupadać. Łowiectwo, którym tradycyjnie trudnili się mieszkańcy tych ziem powoli przestawało być zawodem. Z jednej strony przyczyniły się do tego represje carskie w stosunku do posiadających broń palną, z drugiej — puszcza zmniejszała swą powierzchnię. Kurpiowie zaczęli chodzić tłumami, wiosną każdego roku „na saksy” do Prus Wschodnich. Po zakończeniu działań wojennych znaczna część ludności zamieszkała w ziemiankach (dawnych okopach niemieckich). Według Adama Chętnika tylko w powiecie kolneńskim, będącym właśnie miejscem zajść, zniszczonych było ponad 22 tysiące budynków.

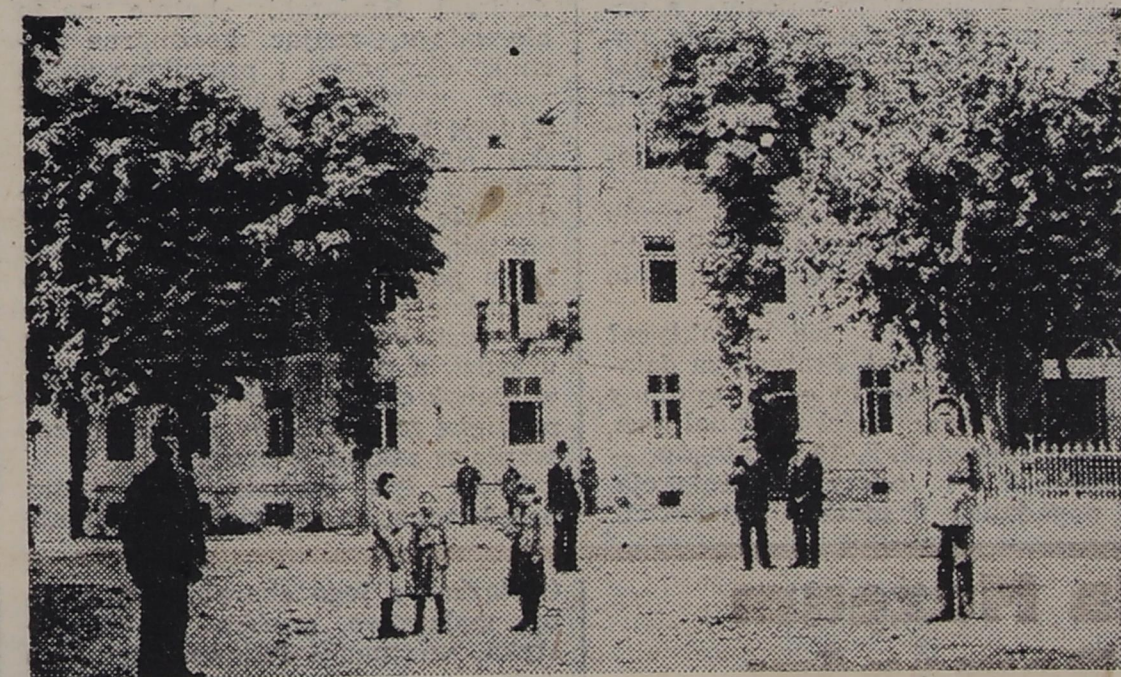
Ponad 52 proc. mieszkańców tej ziemi stanowili analfabeci. Brakowało nawet niewielkich zakładów produkcyjnych. W Kolnie, Jedwabnem, Stawiskach pracowały jedynie warsztaty rzemieślnicze.

dowa w sprawie krwawych zajść w pow. kolneńskim na tle brutalnego i bezprawnego postępowania policji państwowej w związku z nadmiernie obciążającymi ludność wiejską podatkami. We wniesionym do Sejmu wniosku czytamy:

„Pow. kolneński w województwie białostockim w ostatnich dniach marca br. stał się widowiskiem krwawych zajść na tle bezprawnego zarządzania organów administracji państwowej co do ściągania podatków i brutalnego postępowania policji państwowej.

W końcu marca br. do wsi Ruda w gm. Trauszniskiej w pow. kolneńskim przybył wójt w towarzystwie

zgodnione, i zabrane rzeczy zostały odwiezione do gminy. Dnia 31 III, pojedynczy policjanci sprzedawali na rynku w Stawiskach rzeczy zabrane we wsi Bardzików. Ponieważ nikt z obecnych na jarmarku rzeczy takich nie kupował, bowiem pochodzenie ich było znane ludności całego powiatu, przeto policjanci odnieśli je do lokalu posterunku z zamiarem rozsprzedania na następnym jarmarku. Zebrani na jarmarku włościanie, widząc bezprawne postępowanie policji zażądali zwrotu zabranych rzeczy, wówczas komendant posterunku zaczął rozpedzać zebranych, wymyślając im niezwykle ordynarnie, gdy zaś 2 włościan nie u-



sekretarza gminy i 2 policjantów w celu ściągnięcia podatku pogłównego (szpitalnego) i podymnego (mieszkaniowego). Wobec tego, że mieszkańcy tej wsi po ostatnio uiszczonych podatkach: majątkowym, gruntowym państwowym, gruntowym komunalnym, podatku od bydła, od ognia itd. nie byli w stanie uiścić żądanych od nich podatków, przyczem czynili to w sposób niezwykle brutalny, zabierając różne części garderoby, poduszki itd. Między innymi jeden — z policjantów posunął się do tego stopnia brutalności, że nożem obciął płótno z warsztatu, przy którym zajęta była właścicielka, gdy zaś widząc zniweczoną kilkumiesięczną pracę przystąpiła do policjanta, by mu przeszkodzić w wykonaniu tak brutalnego czynu, ten uderzył ją kolbą od karabinu, wskutek czego kobieta, będąc ciężarną, upadła zemdlona, co widząc mąż poczęł zma-

śluchało tych prowokacyjnych wyzwelek, wówczas policjant poczęł ich bić. Za bitymi ujęli się inni włościanie, wskutek czego policjant wystrzelił kilkakrotnie z rewolweru, zabijając na miejscu włościanina ze wsi Romany i raniąc 3 kobiety.

W następstwie powyższych zajść liczni włościanie zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu, gdzie dotychczas przebywając, prowadzone zaś przez prokuratora śledztwo jawnie zmierza do uczynienia winnymi tych aresztowanych włościan.

Ten sposób postępowania niższych organów administracji i policji, załecny przez ostawionego już w powiecie łowickim starostę Brzęczka, nie tylko spowodowało wspomniane krwawe zaburzenia, lecz ponadto policjant, który zabił włościanina, został awansowany, jak gdyby dla zachęty innym policjantom do podobnego nieludzkiego postępowania.

dokumenty



WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmuje Oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 20 listopada dla styczeń, i kwartał i półroczny do 20 grudnia dla stycznia, kwartał i półroczny do 20 stycznia dla lutego, kwartał i półroczny do 20 lutego dla marca, kwartał i półroczny do 20 marca dla kwietnia, kwartał i półroczny do 20 kwietnia dla maja, kwartał i półroczny do 20 maja dla czerwca, kwartał i półroczny do 20 czerwca dla lipca, kwartał i półroczny do 20 lipca dla sierpnia, kwartał i półroczny do 20 sierpnia dla września, kwartał i półroczny do 20 września dla października, kwartał i półroczny do 20 października dla listopada, kwartał i półroczny do 20 listopada dla grudnia. Ceny prenumerat: kwartał 10 zł, półroczna 18 zł, roczna 30 zł. Jednostki gościnne: kwartał 10 zł, półroczna 18 zł, roczna 30 zł. W miejscowościach, w których nie ma Oddziału RSW, prenumeratę przyjmuje Oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie, ul. Towarowa 28, 00-560 Warszawa. Konto NBP XV Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie, ul. Towarowa 28, 00-560 Warszawa. Konto NBP XV Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Warszawie, ul. Towarowa 28, 00-560 Warszawa.

PREZENTACJE

od biurka

Umawiamy się na spotkanie w jego posiadłościach. Przyjmuje mnie na siedmiu metrach kwadratowych, które wywalczył metodą wyszukiwania w Łomży pomieszczeń z zarządztwem kłódkami na drzwiach. Rdza była radosnym znakiem, że można przypuścić szturm na administrację o uzyskanie lokalu. Sześć miesięcy takich starań i... wysperany kioskowy pokój był jego.

A jeszcze pół roku wcześniej, w styczniu 1978 r. miejscowi notabie oprowadzali go w swych pięknych opowieściach po Łomży — nowej Ziemi Obiecanej. Mówili o Centrum Kultury, o Hali Targowej przekształconej w wielki salon artystyczny. Wszystko było tuż, tuż...

Po podpisaniu umowy o pracę było zaś biurko wśród wielu innych — urzędniczych — w Wydziale Kultury i Sztuki, i zdanie na własne siły.

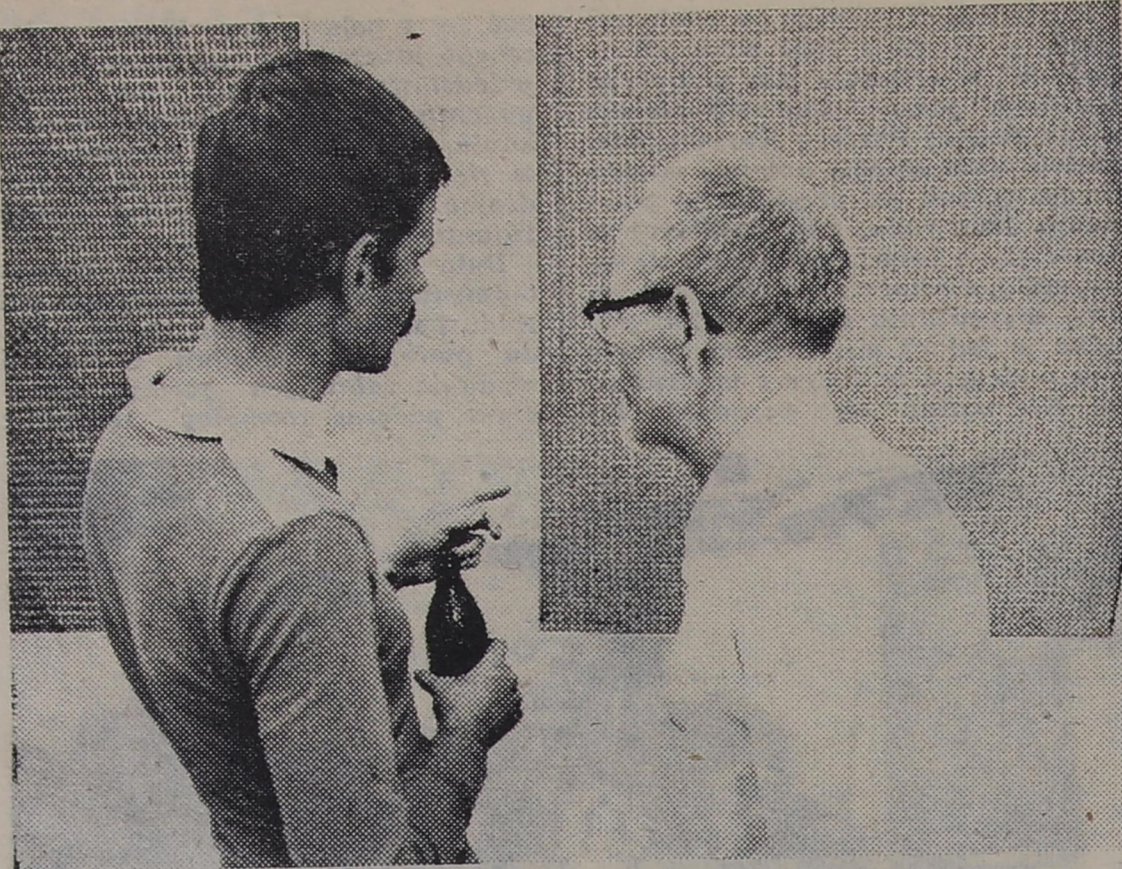
On, Andrzej Szufarski, świeżo upieczony absolwent Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu w Toruniu, który niespodziewanie dla innych i siebie samego pojawił się w Łomży przy okazji ogólnopolskiego pleneru, został kierownikiem bez personelu, mówiącym żartobliwie o swojej firmie: „Biuro Wystaw Artystycznych”, obnażając tym gigantomanie ówczesnych aspiracji skrytych za oficjalnym słowem „biuro”. Rozpiekały go pomysły. — Myślałem przede wszystkim o założeniu w ramach BWA galerii specjalistycznej, prezentującej sztukę najnowszą.

Więc najpierw lokum. Tymczasowo znalazł przytułisko w sklepie cukierniczym hotelu „Polonez”. Obrazy oglądano tam przy okazji; ludzie ciągnęli do sklepu przede wszystkim po ciastka. Jednocześnie w wędrówkach po Łomży szukał godniejszego pomieszczenia dla Sztuki. Natrafił. Była kłódka, była rdza. Dalej — 30 m² wolnej izby. Poszedł za ciosem. Dostał to mieszkanie i wywalczył *vis a vis*: też 30 m² pokoju i do tego 7 m² klitki. Oba pomieszczenia przeznaczył na sale ekspozycyjne — to miał być załazek galerii — a klitkę zostawił sobie na działalność „biura”.

To było latem 78 r. Jest znowu lato, roku 81. Siedzimy w tych siedmiu metrach kwadratowych popijając herbatę. Dwa biurka, dwa krzesła, dwa fotole, szafa — ruch — jednostronny. Woda na herbatę z ukrytego w ścianie kranu. Ubikacja 50 metrów dalej, w innej instytucji, z grzesznościowym wydawaniem klucza.

W ocenie Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Centralnego Biura Wystaw Artystycznych za rok ubiegły łomżyńska placówka jest w grupie BWA mających najtrudniejsze w kraju warunki pracy. Ale ważne, że kierownik nie jest już sam. Od połowy 1979 r. mógł zatrudnić referentkę ds. administracyjno-gospodarczych, a od września ub. r. — inspektora ds. programowo-oświatowych i na 3/4 etatu — dozorcę wystaw.

We wrześniu 78 roku, po remoncie, można było placówkę przeprowadzić z Wydziału Kultury i Sztuki, a galerię BWA — z cukierni do obecnej siedziby przy ul. Armii Czerwonej 19. W nowych realiach



przestrzennych zainaugurowano działalność wystawą rzeźb Bronisława Chromego.

Patetyczny ceremoniał inauguracyjnego wernisażu następnego dnia zszarzał do nowych problemów. Wszystko wskazywało na to, że Łomża podejmie i w oryginalny sposób rozwine tradycję Paryża. Tam były malarskie Salony Jesienne, tu — zapowiadał się letni; taki, co ani ziębi, ani grzeje. Oczywiście, władze. A poszło o piec. Konkretnie: o wydanie zezwolenia na zwiększony pobór energii z racji zainstalowania w BWA pieców elektrycznych. — Nie było władnego, żeby wydał taką decyzję — wspomina Szufarski, który na czas zimowy musiał wynieść się z nowych pomieszczeń, zanim zdążył się tam urządzić, i zastępczo działać w WDK oraz Galerii SPAP „Plastyka”.

Przyszła wiosna, z nią „piecowa” pozytywna decyzja i intensywniejsze myśli o specjalistycznej galerii. Wystawa fotografii Ireneusza Kulika, ogólnopolska ekspozycja poezji konkretnej i wizualnej, fotograficzna opowieść „Alicja” Sikory i Mroszczaka. Do galerii przychodziło 8—10 osób; wciąż te same twarze. — Postanowiłem pójść na kompromisową taktkę działania. Zdecydowałem się nadać galerii charakter uniwersalny, tak by mogła zadowolić każdego. Oczywiście, to stwarza inne problemy. Chcąc sprzyjać każdemu, raz trzeba zrobić pokaz superawangardowy, innym razem — pokazać tradycyjne malarstwo realistyczne. Ta zmiana stylistyki zaskakuje, a czasem zraża widza. Ale co można na razie innego. Przyjąłem też, że co 3—4 tygodnie powinna być nowa prezentacja. Tak, by utrzymać tych 10 „bywalców”, a poprzez zmienność działań, ciągnąć nowość — zachęcać obojętnych. Uważałem, że więcej przez to osiągnę niż siląc się na superbombowe ekspozycje 2—3 razy do roku. Ich okazjonalność byłaby adekwatnym wykładnikiem okazjonalnego głodu sztuki łomżan. A mnie chodziło o to, żeby częste bywanie w galerii stało się nałogiem.

Czy nie pomylił się w taktce? Wyjmuje skoroszyt. Statystyka działań w województwie za miniony rok: 15 wystaw dzieł oryginalnych, 11 — z reprodukcji, 10 katalogów — składanek, 1 odczyt — prelekcja, 25 pogadań, 7 spotkań autorskich,

dni ekspozycyjnych 849 i najważniejsze: frekwencja — około 12 tysięcy zwiedzających. (ostatnio średnio — 400 osób na każdej wystawie dzieł oryginalnych). To dużo, ale i mało. W ciągu naszej godzinnej rozmowy w sąsiednim pomieszczeniu, gdzie trwa pokaz prac łomżyńskich artystów, jeden z zwiedzających. Może dlatego, że jest przedpołudnie; że przed pobliskim kioskiem „Ruch” zmęczona kolejka papierosowa — symbol dezaktualizacji wyrafinowanych potrzeb. Statystyczne dane nie upajają Szufarskiego. — Zaczęły odwiedzać nas szkoły w ramach lekcji wychowania plastycznego, starsi i o dziwo... dzieci. Ale wciąż otwarty jest problem kompetencji odbiorcy, tzn. umiejętności odbioru sztuki. Organizując wystawę muszę założyć, że jest ona przynajmniej na etapie szkoły średniej, na poziomie wiadomości z wychowania plastycznego. Ale czy tak jest naprawdę? Bardzo w to wątpię. W wielu szkołach traktowano ów przedmiot po macoszu; w innych długo nie było nauczycieli, czego przykładem liceum ogólnokształcące w Łomży. A przecież BWA ustala propozycje kontaktu ze sztuką dopiero w obrębie współczesnych dokonań artystycznych, licząc na odbiorcę znającego tradycję.

Szczególniejsze obawy budzi teren, chociaż z drugiej strony cieszy, bo próbuje odpowiadać na zachęty BWA do współpracy. Na stałe chyba zawiązała się komitywa z kolneńskim domem kultury. Regularnie, comiesięcznie BWA zapewnia mu nową wystawę, przeważnie reprodukcji, ale ostatnio coraz częściej prac oryginalnych. Sporadycznie próbują włączyć się i inne ośrodki, chociaż Andrzej Szufarski zbyt nie na to nie naley, znając koszmarnie warunki ekspozycji i przechowywania prac w placówkach terenowych. Bywają też sytuacje inne. — Łomżyńska „Narew” chciała systematycznie robić u siebie pokazy. Proszę bardzo. Ale „Narew” wyobrażała to sobie tak, że Szufarski to facet od łażenia po drabinie, starania się o gwoździe i druty; który przyniesie im wystawę na własnych plecach, urządzi, a potem sam zdemontuje i w głębokich ukłonach złoży jeszcze podziękę za możliwość jej zorganizowania w zakładzie pracy.

Znowu łyk herbaty. Pół metra przede mną, na przeciwległej ścianie

do biura

„gabinetu” kierownika, obrazy. Z zakupów. Szufarski idzie za moim wzrokiem. — To kolejny problem. Znamy artystę przeważnie godzi się na ekspozycję, gdy kupię do siebie ze dwie jego prace, zapewni dobry katalog, recenzje liczących się krytyków w centralnej prasie, rasową publiczność na wernisażu, przyzwoite warunki ekspozycyjne. Mogę temu sprostać w znikomym stopniu. Stać mnie od czasu do czasu na kupno obrazów, chociaż przy cenach 50 tys. złotych — a takie są przeważnie u tych bardzo znanych — wysiadam. Ponadto, nie mam gdzie gromadzić. Do tego powinien być magazyn, dobrze zabezpieczony, o odpowiedniej temperaturze i wilgotności powietrza. Zamiast katalogu oferuję katalog-składankę, znacznie mniejszą objętościowo i często o gorszej jakości technicznej. Druk załatwiam poza województwem, gdyż tutaj nie ma żadnej drukarni, mającej odpowiednie ku temu warunki. Zostaje więc Warszawa, Łódź albo Toruń. Odpadają recenzje, publikacje i komfort wystaw. Dlatego organizowanie wystaw polega albo na umówieniu się z artystą, który ma w terminarzu wolny czas między znaczącymi dla niego ekspozycjami i „dla oddechu” godzi się wystawiać w Łomży; albo na wyproszeniu obrazów, co równa się pewności, że — mimo zaproszeń i pokrycia kosztów pobytu na wernisażu — autor na otwarcie nie przyjedzie.

Stosunkowo najłatwiej zawiera się umowy z młodymi, jeszcze nie stawiającymi dużych wymagań. Kilka osób debiutowało właśnie u Szufarskiego: Roman Michałowski, Andrzej Szczepłocki, Iwona Maliszewska. Chęć tu wrócić za kilka lat w swoich nowych pracach, może dojrzalszych, może tylko innych.

Na 7 m² wkraczają dwie współpracowniczki kierownika. Przestrzeń się kurczy, dla czterech osób nie ma miejsca. Sytuacyjny przymus pożegnania rozmówcy. — Mam nadzieję, że niedługo to się zmieni. Wciąż staram się o lokal. Wreszcie byłaby okazja do prawdziwego zaistnienia, bo przecież z dawnych planów i pomysłów nie zrezygnowałem. Chciałbym powołać zespół galerii specjalistycznych BWA, gdzie i zwolennik awangardy i entuzjasta realistycznych pejzaży zawsze znalazłby coś dla siebie; gdzie mógłby wreszcie robić ekspozycje zbiorowe, ukazujące całe grono artystów skupionych wokół wspólnych problemów estetycznych; gdzie byłoby miejsce na pracę oświatową. Może wreszcie BWA zaczęłoby też funkcjonować wobec sztuki, czyli — dokonywać wartościujących wyborów prac do prezentacji, w tej zaś roli mianarza — nobilitować jedne dokonania, negować inne.

Zegnamy się moim pytaniem: — O czym jeszcze należałoby wspomnieć? Po tym wszystkim, co usłyszałem, odpowiedź jest zaskakująca: „Naprawdę będzie lepiej”. Czym ją wytłumaczyć? Czy upoważnia do niej to, że BWA otrzyma niedługo upragniony samochód do wspólnej dyspozycji z MDK — Domem Środowisk Twórczych i to, że w tym roku — po raz pierwszy — przyznano Szufarskiemu budżet zgodny z ułożonym przez niego preliminarem?

JULIUSZ ŚWIĘDO

nowy dar dla Muzeum Straszyle, Demonów i Niesamowitości w Łomży

Szybciej niż ktokolwiek mógł przypuszczać, wykluwa się w Łomży unikalne MUZEUM STRASZYDEŁ, DEMONÓW i NIESAMOWITOŚCI. Napływają dary (półki co diabły górą, ich podobizny przeważają wśród eksponatów, spychając na dalszy plan maski i dziwadła; w dotychczasowym zbiorze nie ma cemuś żadnej czarownicy). Dzwonią telefony z propozycjami nazwy przyszłego muzeum, a także jego lokalizacji. Obok prezentowanych już nazw (MUZEUM STRASZYDEŁ, DEMONÓW i NIESAMOWITOŚCI oraz MUZEUM DEMONÓW i CZAROWNIC), kilku czytelników zgłasza nową: MUZEUM STRASZYDEŁ, DEMONÓW i DZIWADEŁ.

Skrętnie liczymy głosy, by wśród

uczestników samorządnego plebiscytu rozlosować w przyszłości wartościowe nagrody książkowe. Na razie rodzące się Muzeum przytuły „Kontakty”. Prosimy więc wszelkie dary, listy, pytania kierować pod naszym adresem.

Od członków Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej — przypomnijmy: Towarzystwo to mocno obciąża naszą inicjatywę — napłynęła propozycja, aby Muzeum rozgościło się z czasem w nadnawiańskich fortach, głównie w trzecim, piątnickim, gdzie najdogodniejsze po temu warunki.

Za tą propozycją — żądanie: muzeum musi być bogate w zbiory

(związane z jego charakterem rzeźby, malarstwo, grafika metaloplastyka, wycinanki ludowe, literatura demoniczna, dokumenty historyczne np. z procesów czarownic, nagrane na taśmach gawędy ludowe, bajki, przypowieści, muzyka diaboliczna), no i żywe! Powinno dać się zwiadać bez namaszczenia, dostarczać zaskakujących przeżyć, stać się ulubionym miejscem rozrywki mieszkańców i gości Łomży.

Tak, o to właśnie i nam chodzi. Tymczasem czekamy na eksponaty do przyszłego muzeum. Przyjmujemy w redakcji — bez żadnych ograniczeń i w obojętnej postaci — wszelkie maski, czarownice, diabły, strachy, dziwadła oraz albumy, książki, dokumenty i opowieści z nimi związane. Hojność zostanie nagrodzona wpisem do Złotej Księgi Ofiarodawców. Każdy wpis wraz ze zdjęciem eksponatu opublikujemy na łamach „Kontaktów”.

Oto kolejny dar: breloczek z diabeł (na zdjęciu). Ofiarodawczyni:

Stefania Henczelowa — zastępcza redaktora naczelnego „Kontaktów”.



konto otwartych serc

Jest ich w naszym województwie 7 tysięcy. Mijamy ich na ulicach, spotykamy w sklepach, widzimy po sąsiedzku. Inwalidzi, ludzie niepełnosprawni. Często ich niedola fizyczna idzie w parze z ciężką sytuacją materialną. Wielu żyje z emerytur — 2300 zł musi starczyć na chleb, ubranie, mieszkanie, którym nierzadko jest altanka, chlewy, obskurne nory. Budownictwo kwaterunkowe ich nie przyjmie, bo go nie ma; zakładowe odrzuca, gdyż nie są zdolni do pracy; na wkład spółdzielczy nie mają po prostu pieniędzy. Możemy tym ludziom pomóc, jest realna szansa. Potrzeba na to tylko pieniędzy. Twoich, nas wszystkich. Jeżeli zbierzemy na wkłady mieszkaniowe dla 12 inwalidów żyjących w skandalicznych wręcz warunkach, prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży da tym ludziom mieszkania już w przyszłym roku. Czy możesz

w tej sytuacji odmówić swojej drobnej składki?

Łomżyńskie organizacje młodzieżowe: ZHP, ZMW, ZSMP, ZW Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej i Redakcja „Kontaktów” otwierają społeczne „KONTO OTWARTYCH SERC”, na które ogłaszają zbiórkę pieniężną od osób prywatnych i instytucji. Najbliższy cel: 12 mieszkań dla najbardziej potrzebujących ich ludzi niepełnosprawnych. Dalsze: pomoc finansowa i materialna za zebrane pieniądze.

Każdy ofiarodawca staje się współakcjonariuszem i będzie mógł brać udział w otwartych posiedzeniach komisji dzielącej zebrane fundusze.

Pieniądze prosimy kierować na konto PKO Oddział Łomża 45519-1065-132 z dopiskiem: „Konto otwartych serc”.

Wierzymy, że odpowiesz na wezwanie. O przebiegu zbiórki pieniężnej, jej efektach i sytuacji materialnej osób, które obejmie nasza akcja, będziemy informować w „Kontaktach”.

Organizatorzy



Łomża, kino „Październik”: 6-7 VIII — „Omen”, prod. ang. (od lat 18); 8-10 VIII — „Droga szkieletów”, prod. rum. (od lat 15); 11-12 VIII — „Dubler”, prod. franc. (od lat 12).
Ciechanów, kino „Meteor”: 6-7 VIII — „Dyrygent”, prod. pol. (bez ograniczeń); 8-9 VIII — „Prywatne piekło”, prod. USA (od lat 15); 10-11 VIII — „Pierwsza miłość”, prod. franc. (od lat 18).
Grajewo, kino „Relaks”: 6-7 VIII — „Dzień weselny”, prod. USA (od lat 15); 8-9 VIII — „Boska Euma”, prod. CSRS (od lat 15); 10-11 VIII — „Ciosy”, prod. pol. (od lat 15); 12 VIII — „Obcy 8 — pasażer Nostromo”, prod. ang. (od lat 18).
Jedwabne, kino „Oaza”: 6 VIII — „Siedem nocy w Japonii”, prod. ang. (od lat 12); 8-9 VIII — „Con Amore”, prod. pol. (od lat 12); 12 VIII — „Mandingo”, prod. wł.-USA (od lat 18).
Kolno, kino „Wrzós”: 6-7 VIII — „Goń mnie aż cię złapie”, prod. franc. (od lat 15); 8-9 VIII — „Transamerican Express”, prod. USA (od lat 15); 10-12 VIII — „Pojedynek”, prod. ang. (od lat 15).



Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywa Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświęconych) w godzinach 10.00-18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00-16.00, w niedziele w godz. 11.00-17.00. Wystawy: „Burzyna z dorzecza Narwi środkowej” — wystawa (ze zbiorów własnych) prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z burzyny; „Szczęśliwy naród, który ma poetę...” — wystawa poświęcona Czesławowi Miłoszowi.
Park Etnograficzny Północno-Wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 12.00-18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00-16.00; 6-9 VIII — wystawa malarstwa Andrzeja Szufarskiego; 10-12 VIII — wystawa Jerzego Marosa (technika collage).
Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Bucza (witrina sklepu tekstylnego): „Ulica w Łomży” — pocztówka niemiecka z 1915 r.
Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegienego 1 (witrina sklepu „Foto-Optyka”): Wojciech Bialecki — „Łoś z Czerwonego Bagna”.



Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 12.00-18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00-16.00; 6-9 VIII — wystawa malarstwa Andrzeja Szufarskiego; 10-12 VIII — wystawa Jerzego Marosa (technika collage).
Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Bucza (witrina sklepu tekstylnego): „Ulica w Łomży” — pocztówka niemiecka z 1915 r.
Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegienego 1 (witrina sklepu „Foto-Optyka”): Wojciech Bialecki — „Łoś z Czerwonego Bagna”.



Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: 8 VIII, godz. 10.00 — spotkanie Klubu Kolekcjonerów; 8-9 VIII, godz. 19.00 — występ zespołu Stalowy Bagaz.

W razie potrzeby

BIURO Matrymonialne „Piast” 84-300 Łęborg, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi.
p 1215-0
SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury” Olsztyn 2, skrytka 336.
K 1466-0

Ogłoszenia drobne

ŁOMŻA — M-3 spółdzielcze nowe (49 m kw.) osiedle „Jantar” zamienię na równorzędne lub M-2 spółdzielcze lub kwaterunkowe w Warszawie. Tadeusz Galicjan. 03-726 Warszawa 45, skr. poczt. 66.
p 1217-1

CZWARTEK 6 SIERPNIA 1981 R.
PROGRAM I
9.00. Kino Teleferii: „Wakacje z duchami” (5) — „Strachy na lachy”.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.45. „Impulsy”.
18.15. „Patrol”.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Sonda”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Publicystyka DTV.
20.25. „Strach” — film sensacyjny produkcji polskiej w reż. Antoniego Krauzego.
22.00. „Pegaz”.
22.45. „Proby” — magazyn społeczno-ekonomiczny.
23.15. Dziennik Telewizyjny.
23.30. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Rodowody” — Stefan Okrzeja.
20.30. „Rytm czasu”.
21.00. „Benefis Minelli Kurgapkiny” — program baletowy.
21.40. 24 Godziny.
21.50. „Ornitolog” — film dokument.
22.30. „Stoplatka”.

PIĄTEK 7 SIERPNIA 1981 R.
PROGRAM I
9.00. Teleferie Telewizji Najmłodszych: „Pan Tau” (1) — „Pan Tau i woda”.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. „W kregu rodziny”.
18.00. „Wesołe melodie” — film animowany.
18.20. „Świadkowie”.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Otworzył świat” — reportaż filmowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Monitor Rzeczy.
20.30. „Przyjaciele” (3) — „Praes”.
21.55. „Listy o gospodarce”.
22.40. Dziennik Telewizyjny.
22.55. Filmowe Studio im. Andrzeja Munka: „Panienki” w reż. Jarosława Kuśzy.
PROGRAM II
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Szacunek dla chleba” — Wrocław.
20.30. Koncert WOSPRIT.
21.05. „Zdarzenia”.
21.40. „Uśmiech spod parasola”.
22.10. Film Telewizyjny na świecie: „Fonure żniwa” — dramat obyczajowy produkcji brazylijskiej.

SOBOTA 8 SIERPNIA 1981 R.
PROGRAM I
9.00. Kino Teleferii: „Pan Tau” (3).
9.25. Magazyn lotniczy.
11.10. Koncert muzyki poważnej.
12.10. „Pustynne oazy” — film dokumentalny.
12.35. „Gwiazdozbiór” — Jane Fonda.
13.20. Klub Sześciu Kontynentów.
14.30. „Co tydzień rocznica ślubu” — komedia filmowa.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Monitor Sejmowy.
17.00. Studio Sport — I liga piłki nożnej.
18.50. „Bolek i Lolek”.
19.00. Telewizja Młodych — CDN.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Maria Antonina” (3) — „Król ma tylko jednego mężczyznę — swoją żonę”.
21.35. „Lekcja” — reportaż Cezarego Pawłowskiego.
22.05. Comedian Harmonies Show.
22.40. Dziennik Telewizyjny.
22.55. Kino Nocne: „Powstań, Simonie Zuniga” — amerykański dramat społeczno-obyczajowy.

PROGRAM II
14.00-22.50. STUDIO 2.
14.05. „Cyryl w Holandii” z serii „Cyrylki świata”.
15.00. Teleturniej muzyczny.
15.25. „Cisa” — odc. II jugosłowiańskiego serialu dokumentalnego.
16.10. I Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej w Sopocie (1956).
16.30. „Czy możemy mieć więcej węgla?” — program publicystyczny.
17.35. „Muppet show” — Ben Vereen.
18.05. „Portret ze wspomnień” (5) — serial telewizyjny radzieckiej.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Gorycz zwycięstwa” — film dokumentalny.
21.00. „Woda” — program rozrywkowy.
21.25. 24 Godziny.
21.35. „Najkrótszy rejs” — film z serii „Telefon 110”.

NIEDZIELA 9 SIERPNIA 1981 R.
PROGRAM I
7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.00. „Tydzień” — magazyn Redakcji Rolnej.
9.00. Telewizjada.
9.30. „Przygody Tomka” — czechosłowacki film przygodowy.
10.55. „Antena”.

11.25. „Świat wokół nas” — „Tajemnice tropikalnych lasów”.
12.15. Dziennik Telewizyjny.
13.00. Z muzyką w zabytkach Warszawy.
13.40. „Dlaczego?” — program Redakcji Rolnej.
15.40. Śląski trybun.
16.05. Teatr Wspomnień — Pola Gojawiczyńska: „Dziwczęta z Nowolipek” (2).
17.10. Sprawozdawczy magazyn sportowy.
19.00. Wieczorynka: „Znacie, to posłuchajcie”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Rodzina Boussardelów” (1) — „Pamiętnie wrzasy”.
21.45. Sportowa Niedziela.
22.30. Marek Kondrat o spotkaniach z poezją Leśmiana.

PROGRAM II
11.50. „Partyzancka bitwa” — program wojakowy.
12.30. „Przyjaciele” (3).
13.55. Przeboje tygodnia.
14.55. „Paul Cezanne, czyli rozsądek i ryzyko” — francuski film dokumentalny.
15.50. „Wielka gra”.
16.50. „Srebrny jubileusz różnorodności królewskich” — angielski program rozrywkowy.
17.50. Mikołaj Rymkowski — „Sadko” cz. II.
18.45. „Colla” — wyspa na Szpewie — film dokumentalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Gra Big-Band Zbigniewa Kalemby.
20.40. „Apokalipsa czy odrodzenie?”
21.40. Stanisław Różewicz: „Wolne miasto”.

PNIEDZIAŁEK 10 SIERPNIA 1981 R.
PROGRAM I
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. „Droga” (6) — „Staa wyjątkowo”.
18.30. „Dom i my” — poradnik.
18.50. Dobranoc — „Jak zostać dużym”.
19.00. Echo stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji na Świecie — William Szekspir: „Juliusz Cezar” (1), reż. Robert Wise.
21.50. „W otwarte karty” — program publicystyczny.
22.20. Hiperealizm.
22.50. Dziennik Telewizyjny.
PROGRAM II
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Spotkajmy się raz jeszcze”.
21.30. 24 Godziny.
21.40. „Spotkajmy się raz jeszcze”.

WTÓREK 11 SIERPNIA 1981 R.
PROGRAM I
9.00. Kino Teleferii: „Pan Tau” (3).
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.30. Polska Kronika Filmowa.
17.40. Interstudio.
18.10. Telewizja Młodych — CDN.
18.50. „Dziwne przygody Koziołka Matołka”.
19.00. „Camerata” — magazyn muzyczny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Słodki dom” — francusko-belgijski dramat obyczajowy.
21.30. „Kultura 81” — wieś.
22.35. Dziennik Telewizyjny.
22.50. 30 minut z architektury.
23.20. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Sensacje z przeszłości — „Świat książek Ryszarda Zięby” (3).
20.35. Wtorek Melomana.
21.35. 24 Godziny.
21.40. Wieczór Filmowy: sensacje małej kinematografii i polskie filmy dokumentalne.

ŚRODA 12 SIERPNIA 1981 R.
PROGRAM I
9.00. Kino Teleferii: „Pan Tau”.
17.00. Dziennik Telewizyjny.
17.55. Głoda.
18.30. Magazyn motoryzacyjny.
18.50. „Przygody Peti”.
19.00. „Wyspy Hiszpanii” — Majorka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Karol Marks — lata młodości” — ostatni odcinek serialu.
21.20. „Buchnie koledzy pożar” — program rozrywkowy.
21.45. Teatr Telewizji — Józef Kuśmierz: „Superata” w reż. Jana Machulskiego.
22.35. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program lokalny.
20.00. „Szkieleto i Oko” — magazyn popularnonaukowy.
21.35. 24 Godziny.
21.45. „Ekran reporterów” — „Włosey komunści”.

GMINNA SPÓŁDZIELNIA „SAMOPOMOC CHŁOPIŃSKA” w PIĄTNICY KŁOMŹY

ZATRUDNI natychmiast:

— wysoko wykwalifikowanego w zakresie remontu maszyn
KONSERWATORA - MECHANIKA
w Wytwórni Wód Stołowych w Piątnicy.
Warunki pracy i płacy do omówienia w Zarządzie GS.

K 2744-1

W związku z otrzymaniem Decyzji zatwierdzającej plan realizacyjny budowy garaży przy ul. Zjazd w Łomży

ZARZĄD KOMITETU BUDOWY GARAŻY organizuje

zebranie, którego tematem będzie:

1. ustalenie ostatecznej listy członków komitetu budowy garaży,
2. sprawy techniczne związane z budową,
3. sprawy dotyczące wykupienia terenu pod budowę,
4. sprawy organizacyjne.

Zebranie wszystkich członków odbędzie się

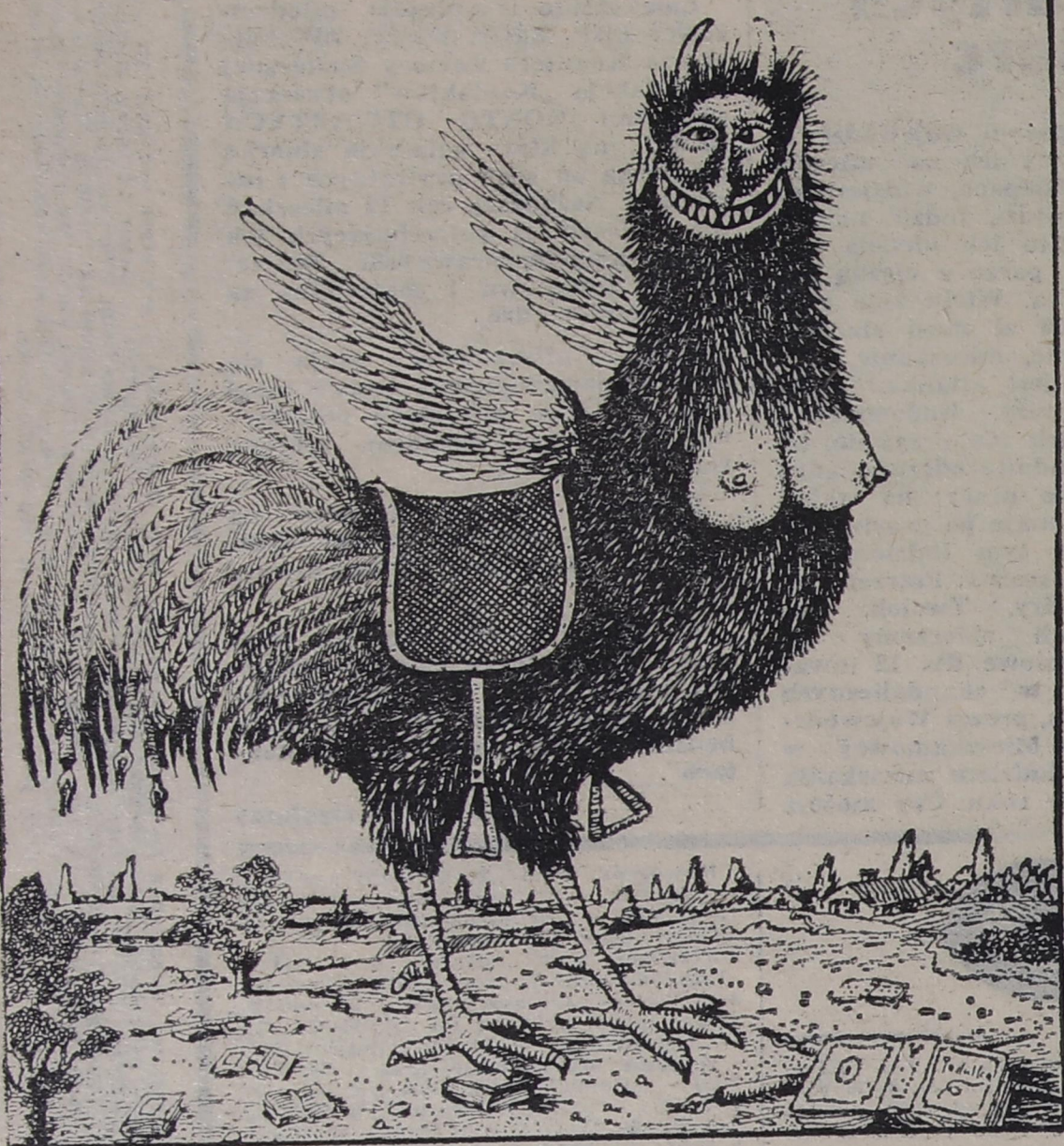
W DNIU 18 SIERPNIA 1981 R. O GODZ. 17.

w sali Konferencyjnej Urzędu Miejskiego (Pl. Żeglückiego).

Prosimy o niezawodne przybycie wszystkich członków.

K 2745-1

KONTAKTY



Rysunek Andrzej Podulski

DONOS OGŁOSZENIOWY

Nie jest żadną tajemnicą, że przyrost mamy na poziomie albo nawet wyżej. Niestety, nie idzie z nim w parze margines, który w naszym piekle jakby nawet skarlował. Wystarczy ślepiem lypnąć do bardziej prosperujących piekieł, żeby stwierdzić, że tam ów margines stanowi całą odrębną kartę, a może i więcej. Tam jest on porządnie zorganizowany i samorządny, a u nas wystarczy, jak się pojawi jakiś uzbrojony po zęby, to się zaraz okazuje, że zęby są sztuczne.

Aktualnie wszyscy kładą nacisk na rolnictwo, co może jedynie cieszyć piekło, bowiem piekiełni fachowcy dawno już stwierdzili, że naciskiem, owszem, makę można zrobić, ale ciasto pod nim nie wyrośnie. Tak wspomaganie piekło widzi swą szansę w pełnym rozkwicie marginesu.

Wobec powyższego ogłasza się jedynie w swoim rodzaju, niepowtarzalny, dający każdemu szansę konkurs na złodziei różnego kalibru (od doliniarzy do koniokraków), chuliganów, wandalów, gwałcicieli, nożowników, dziwków, spekulantów i wszelkie inne talatajstwo. Jeżeli nie ufasz swym umiejętnościom, możesz już dziś zgłosić się na kurs przedkonkursowy nawet bez kartek żywnościowych. Wystarczy pójść o północy na najbliższe bagno z hasłem wywoławczym: „Nowy margines”.

Wielki finał nastąpi w czasie najdłuższej nocy w roku już o 24.00 i trwać będzie do świtu. Ilość miejsc jest ograniczona. Odpadną tylko wy-

bitne fajtlapy i frajerzy. Liczymy na każdego. Korzystajcie z okazji!

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy, żeby nie pozostać w tyle, rozlepiają aktywnie afisze gdzie popadnie. Z tą aktywnością nie ma przesady, gdyż połowa miejskich pijacków ma plecy oblepione owymi plakatami.

W zwartej treści zadań, bo one to są tak nagminnie wieszane (jednak cywilizacja zrobiła kolosalny postęp — dawniej wieszano zadających), na czoło wybijają się postulaty, aby kozy miały kagańce. Te brodato-rogate stworzenia są zagorzałymi konsumentami mioteli i jeżeli nie poskromi się ich apetytów, groźno wiadom, że niebawem zostaną spieszono. Co to znaczy, wie tylko ten, który musi korzystać z naszych dróg lokalnych.

Wystarczy dodać, że na myśl o tym nawet piekło centralne dostaje dwuznacznych dreszczy.

WYTYCZNE

Naprawić wreszcie te błędy. Psia krew, koniec świata! We łbie się nie mieści, żeby nawet błędy były spartolone.

WSKAZÓWKI

Trzeba wreszcie sprawę pchnąć (najlepiej pod zebro).

TWÓRCZOŚĆ

Słowo humoru, nie podoba mi się ta hołota, co czekanie na paliwo utożsamia z czekaniem na Godota.

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO



Rysunek Władysława Mścichowskiego

Sennik — przepowiednie niechybne

CARA WIDZIEĆ

Bawić się — bliskie cierpienie
Bawo! — znajomość z bogatą osobą
Bazanta jeść — zabawa w wesołym towarzystwie
Baka widzieć — poznać gbura
Beben, bebnie weń — awantura w rodzinie
Bednarz — ponieść stratę
Beczki pełne — dobre interesa; próżne — złe czasy
Belkę nieść — przeszkody domowe
Ból czuć — będziesz wkrótce na weselu
Bór — wdasz się w nieszczęśliwe interesa
Bramę widzieć — podróż

Brodę mieć długą — czeka cię życie długie; golić brodę — małżeństwo
Brata lub siostrę widzieć — zgoda
Browar — spotka wielki zawód
Bronować w polu — dobra przyjaźń
Bryczką jechać — rozrywka niespodziewana
Bryzgać wodą — będziesz skarcony
Brzozy widzieć — szczęście; brzozy suche — ciężka kara
Brzytwę oglądać lub ostrzyć — przestroga, aby nie pić trunków
Cacko oglądać — nastąpi niespodzianka
Całować kogoś — pomyślność i powodzenie
Całujących się widzieć — oczernienie
Cap — nieprzyjemne spotkanie w łaźni
Capśzytk — ciekawe zajęcie
Cara widzieć — być wysłanym
Ceber — drobne wydatki

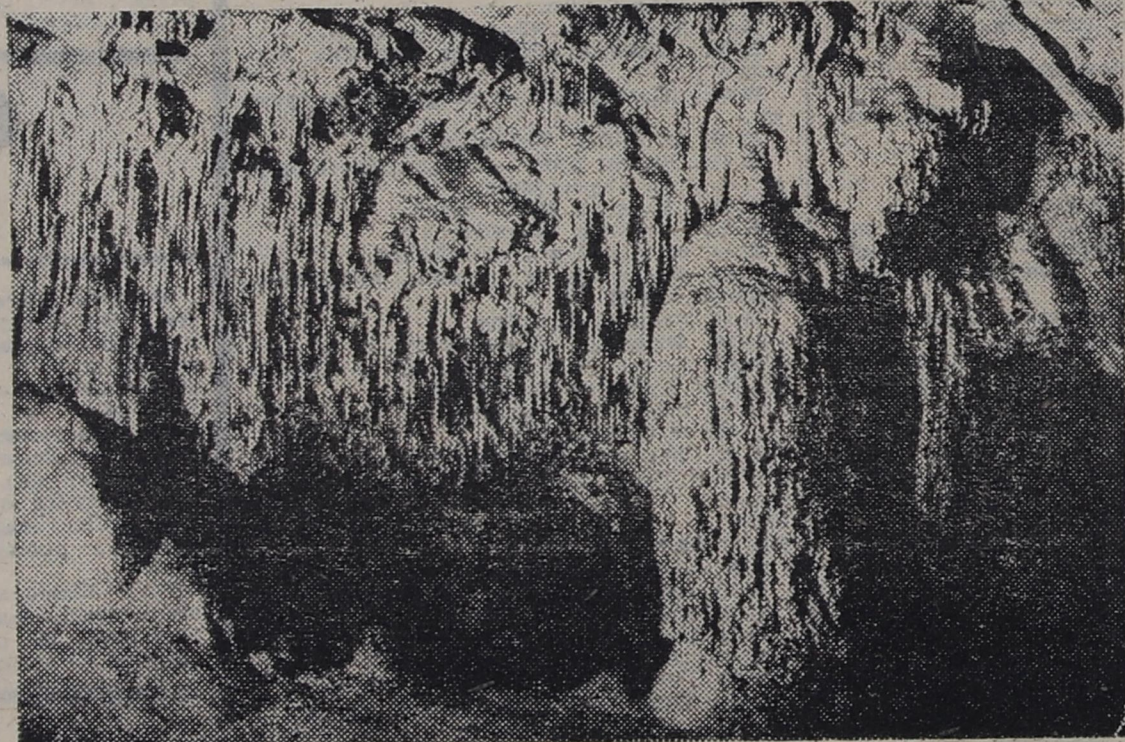
RAJ NA ZBOCZU GÓRY CZERWONEJ

Kabareciarz Smoleń może się śmiać z ubożuchnych piasków Szkieletczyzny, ale właśnie tu, 10 km od Kielc, jest jedyny i ostatni Raj PRL zarejestrowany w spisie zabytków pod numerem A (482). Raj to wprawdzie geologiczny i nieduży (ok. 200 mb), a przy tym z kręgu zjawisk tyleż krasowych co undergroundu, ale zawsze co Raj, to Raj. W rejonie tejże Czerwonej Góry, kilkanaście kilometrów od Raju ma Kieleccyzna swoje Piekło, ale jest to jaskinia drugiego sortu i w ogóle miejscowi twierdzą, że prawdziwe piekło to pobliska cementownia Nowiny, której pięć stale dymiących kominów łatwiej zauważyć niż baszty chęcińskiego zamku w ruinie. Tak czy owak Raj jest piękny i sławny w całym świecie.

Do Raju dojeżdża się autobusem MPK. Wstęp do Raju kosztuje 25 zł, jeśli panienka w okienku na etacie aniola-kasjera uzna za stosowne sprzedać jeden bilet na doczepkę do wycieczki, bo wycieczki rezerwują sobie miejsce w Raju pół roku wcześniej. Popyt na Raj nie słabnie od chwili udostępnienia jaskini zwiedzającym, to jest od 1972 r., a Kieleckie Przedsiębiorstwo Tury-

ka Noego i to w kolorze: od bieli poprzez całą gamę szarości i czerwieni do brunatnej barwy, instrumenty muzyczne z najpiękniejszą z najpiękniejszych „Harf”, która potrącona lekko paznokciem gra naprawdę lub raczej grała do niedawna, bo teraz od tych potrąceń co muzykalniejszych turystów pęka i fałszuje nieco.

Śladem turystyki w Raju jest więcej — tepe stalaktyty, poprzeręcane kolumny, oderwane płyty węglanu wapnia — naturalne rzeźby zniszczone w chwili bezmyślności. Na ich naturalną odnowę trzeba będzie poczekać 5, a może 10 tysięcy lat, bo tyle mniej więcej potrzebują w Raju, żeby dojść do siebie. Największe zniszczenia pochodzą z lat 1964–72, kiedy to jaskinię nawiedzały dzikie wyprawy, głównie za sprawą miejscowej prasy, która podała informację o „jaskiniowych perłach”. I nie była to nawet wina propagandy sukcesu, bo tak potocznie nazywa się małe, kuliste formy, zwane pizoidami, które występują bardzo rzadko, bodajże w kilku jaskiniach na świecie, między innymi w Raju. Ludzie szli po „perły”, dwa razy wyrwali stalową kratę bronia-



styczne „Lysogóry” leży już trzeci milion zwiedzających. Jeśli wziąć pod uwagę regulamin, który kategorycznie zabrania wstępu do Raju nietrzeźwym, to jest to przerób niemały. Kiedyś wstęp do Raju kosztował 10 zł, ale teraz oglądanie kwaśnego węglanu wapnia też wypada drożej. Za to światło podczas zwiedzania jaskini gaśnie częściej, co niektórzy uważają za dodatkową atrakcję turystyczną.

W naszych racjonalnych czasach sformułowano wzór chemiczny na Raj. Wygląda on tak: $Ca(HCO_3)_2 \rightarrow CO_2 + H_2O + CaCO_3$. Znaczy to, że z roztworu wodnego nasyconego kwaśnym węglanem wapnia w sprzyjających warunkach może wytrącać się węglan wapnia, wraz z równoczesnym utlenianiem się dwutlenku węgla i powstawania cząsteczek wody. W zboczach Czerwonej Góry takie warunki są, a cały Raj jest dziełem kropli wody, która i teraz blizszy na końcach stalaktytów, rozpryskuje się na stalagmitach i spływa po fantastycznie rzeźbionych kolumnach, zasłonach, draperiach, welnistych „barankach” i innych wręcz nieprawdopodobnie wymyślnych formach. Pomysłowość matki natury w roli rzeźbiarza malarza i scenografa jest w Raju niewyczerpana. Z wilgotnego mroku jaskini wychylają się coraz to nowe stwory i mamidla, jest cała Ar-

ca wstępu do Raju, poturbowali dozorów po to, żeby z jaskini wynieść worek szarych kuleczek cennych tylko dla geologa. Dziś za zniszczenie stalaktytu płaci się do 20 tys. zł, zależnie od długości nacieku.

W Raju poza turystami żyją tylko zielone bakterie, a zimą można spotkać drzemające tu nietoperze. Z góry poprzez skalne szczeliny prześkają się do Raju cieniutkie korzenie roślin. Jakies 50 tys. lat temu inaczej w Raju bywało. Z odgrzebanych kości wynika, że żył tu jaskiniowy niedźwiedź, lew, włośchaty nosorożec, bóbr, małeńki rzesorek rzeczek i mamut, którego zabronowy wyekspozowany w gablocie do dziś budzi szacunek zniechęnionych wycieczek, bo temperatura w Raju nie przekracza 9 stopni Celsjusza.

Dwukrotnie pomieszkował w jaskini również człowiek. Pierwszy był tu neandertalezyk, drugi — homo sapiens. Po tych pierwotnych myśliwych pozostało w Raju sporo zębanych narzędzi — Raj Krzemienia nie importował.

Dziś obok jaskini buduje się okazały zajazd-hotel cały w drewnie, stylizowany górsko, więc tym śmiej zapraszamy do Raju. Jeść nie ma co, ale przespać się będzie można.

Pozdrowienia dla Dojlickiego i Reszty

DIABEL ŚWIĘTOKRZYSKI

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY